LUDZIE

95 proc. nudy, 5 proc. maksymalnej koncentracji. Kulisy pracy kontrolera lotów

STR. 10



FOT. ANNA KACZMARZ

SPORTOWY 24

Ewa Swoboda poza konkurencją w hali. To jej dziesiąty tytuł

STR. 22



dziś SPORTOWY24

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 2.03.2026
Nr 18 (2529)

Cena
6,00 zł (w tym 8% VAT)

Informacje z Kraju i ze Świata
www.i.pl

NR ISSN 1898-3081
NR INDEKSU 349-682

9 771898 308011 10



FOT. PAP/EPA

Irański reżim nie upadnie?

Wszystko wskazuje na to, że śmierć Alego Chameneiego – wbrew oczekiwaniom USA – nie zmieni Iranu, raczej doprowadzi do zmian personalnych w strukturach reżimu STR. 3–7

POLITYKA

Minister Stefan Krajewski: Ja broni nie składam

STR. 8

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE

Pomysłodawca na tropie, czyli ile jest miodu w miodzie

STR. 12

MUZYKA

Kilka nieostrożnych słów Johna Lennona wzburzyło świat

STR. 16

ARCHEOLOGIA

Zamkowa Góra niczym Troja na Kaszubach

STR. 18

eprasa.pl 880adb6eec

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek
magazyn Puls

Jakie konsekwencje dla całego swiata będzie miał konflikt na Bliskim Wschodzie. Co z cenami ropy na światowych rynkach?



Marek Mazurkiewicz
publicysta

LEKCJA ANDERSENA

Baśnie Andersena mają prawie dwieście lat, ale ich bohaterów bez trudu rozpoznajemy we współczesnym świecie - także w polityce. Ich przesłanie pozostaje aktualne. Andersen w swoich baśniach dotyka uniwersalnych wartości, a także krytykuje i wyśmiewa ludzkie przywary, które towarzyszą kolejnym pokoleniom. „Brzydkie kaczątko", „Dziewczynka z zapałkami" czy „Królowa Śniegu" to opowieści o poczuciu własnej wartości, trudach życia w biedzie i potrzebie wsparcia ze strony bliskich, znaczeniu przyjaźni, miłości oraz odwiecznej walce dobra ze złem. Ich uniwersalność sprawia, że baśnie Andersena pozostają aktualne. Spośród licznych jego utworów, których zbiory znajdziemy w naszych domowych bibliotekach, na uwagę zasługuje bajka z kontekstem politycznym.

„Nowe szaty cesarza" Andersena to doskonała satyra na próżność i konformizm. Powstała w świecie rządzonym przez królów i cesarzy, bardzo długo przed wynalezieniem radia, telewizji, internetu i sztucznej inteligencji. Mimo to jej morał nadaje się do tego, by na kolejnych kartach historii krytykował i wykpiwał ludzkie przypadłości, które szczególnie często widać w kręgach władzy.

Amerykański prezydent i jego otoczenie doskonale wpisują się w scenografię baśni Andersena. Ostatnio na oficjalnych „socialach" Trumpa pojawił się filmik, w którym w garniturze gra on w hokeja, strzela gola Kanadyjczykom i wygrywa mecz. To oczywiście wytwór AI i trudno brać filmik na poważnie, podobnie jak - coraz częściej - jego politykę. Decyzje Trumpa nie tylko wywołują chaos, ale przynoszą skutki odwrotne od zamierzonych. Nakładanie przez USA ceł okazało się - według Sądu Najwyższego USA - niezgodne z prawem, a zamiast pokoju na świecie mamy kolejne konflikty. Na szczęście coraz częściej słychać głosy - podobnie jak w bajce Andersena - że „cesarz jest nagi" i że polityka Trumpa więcej przynosi szkód niż korzyści. Polscy politycy, którzy nadal mają niezłomną wiarę w Trumpa, powinni przypomnieć sobie, że w polityce, tak jak w baśni Andersena, zawsze przychodzi moment, gdy ktoś musi powiedzieć prawdę - że cesarz jest nagi, nawet jeśli inni wolą udawać, że tego nie widzą.

> *Odebrałem meldunki MON i MSZ w związku z atakiem Izraela i USA na Iran; nasi obywatele, w tym personel ambasady RP w Teheranie, są bezpieczni, ale jesteśmy przygotowani na różne scenariusze*
>
> **Premier Donald Tusk** na platformie X

DLACZEGO NIE SZANUJEMY PAMIĘCI TWÓRCÓW TECHNIKI?



Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

Martwi mnie, dlaczego tak rzadko i w tak ograniczonym stopniu jesteśmy skłonni akcentować w przestrzeni publicznej uznanie i wdzięczność dla twórców techniki? Przecież technika nas otacza, ochrania i wspomaga. Nie boimy się mrozów, który nas ostatnio atakują, bo mamy skuteczne urządzenia ogrzewające nasze mieszkania, biura, sklepy i urzędy. Urządzenia techniczne!

Mimo różnych problemów hydrologicznych mamy czystą i zdrową wodę w naszych mieszkaniach. Dzięki technice wodociągów!

Świergotu komórki słuchamy częściej niż śpiewu ptaków, na ekran laptopa patrzymy częściej niż na krajobrazy, brak prądu jest bardziej dokuczliwy niż najgorszy deszcz, a na możliwość dotarcia do celu bardziej wpływa stan dróg niż odległość. Technika nas otacza i technika pomaga. Ale czy wiemy, skąd się wzięły te wszystkie techniczne urządzenia, które nam towarzyszą, które nam służą i które uważamy za oczywisty i naturalny składnik naszego świata? Kto to wymyślił, zrobił, upowszechnił? Na ogół nie, bo w obiegowej świadomości dokonania inżynierów nie istnieją! Tak jak Katon, który niezależnie od tego, na jaki temat była mowa, kończył zawsze swoje przemówienie słowami: „Ceterum censeo Carthaginem delendam esse" (Ponadto uważam że Kartagina powinna zostać zburzona).

No i Kartaginę zburzono! Bo Katon wierzył, że tak trzeba...

Tak samo ja wierzę, że trud i wiedza inżynierska powinny być bardziej dostrzegane i lepiej doceniane. Nie finansowo, ale prestiżowo!

Polska gospodarka się rozwija. Aspirujemy do grupy G20 - dwudziestu największych organizmów gospodarczych świata. To wielki sukces i chwała wszystkim, którym to zawdzięczamy. Jednak rozwój gospodarki musi się opierać na rozwoju różnego rodzaju innowacyjnej wytwórczości, a owe innowacje są następstwem myśli inżynierskiej. Trzeba pamiętać, że wartości przybywa w wyniku tego, że się umiejętnie wytwarza coś, czego inni potrzebują. Coś, czego wcześniej nie było, a gdy zostało wymyślone - to wszyscy zapragną to mieć. Ale to trzeba najpierw wymyślić, a potem wyprodukować.

Nowości techniczne wymyślają inżynierowie. Oni także projektują i organizują proces wytwarzania, a efekty ich dorobku twórczego są głównym źródłem zamożności najbogatszych krajów świata. Wystarczy spojrzeć dookoła. Na to, jakich przedmiotów używamy, jak podróżujemy, jak się komunikujemy z innymi ludźmi, jak wykonujemy różne prace, nawet na to, jak się bawimy.

A jednak przywykliśmy szanować i doceniać dzieła wodzów , artystów („bo Słowacki wielkim poetą był") albo polityków („ulic i placów imienia Piłsudskiego jest dziś w Polsce więcej, niż było wszystkich legionistów Marszałka razem wziętych"). Natomiast z lekceważeniem traktujemy dokonania techników. Na zasadzie wyjątku zdarza się, że wybitny naukowiec czasem się doczeka uznania potomnych (Kopernik, Skłodowska-Curie itp.). Natomiast najwybitniejszy nawet inżynier - nigdy. Sądzę, że to trzeba zmienić. I dlatego od wielu lat w różnych miejscach, w różnej formie i z różnym skutkiem usiłuję popularyzować osiągnięcia nauk technicznych. Uważam, że nowoczesny człowiek, który jest dzień i noc otoczony setkami różnych systemów technicznych - jeśli jest człowiekiem myślącym, to może czasem chcieć dowiedzieć się czegoś na temat całej tej „technosfery", która go otacza. I na temat tych, którzy ją stworzyli!

WSZYSCY JEDZIEMY NA JEDNYCH SANKACH



Jakub Guder
publicysta

To były dla nas udane zimowe igrzyska olimpijskie. Cztery medale, dużo miejsc punktowanych. Możemy być dumni z naszych sportowców. Gdy ja dorastałem, to o jakimkolwiek medalu mogliśmy zimą tylko pomarzyć. Wielu już tego pewnie nie pamięta, ale między Sapporo 1972, a Salt Lake City 2002 nie mieliśmy żadnego krążka! Przez 30 lat! Złoto Wojciecha Fortuny jawiło się w tym czasie mojemu pokoleniu jako jakaś legenda jeszcze z czasów czarno-białej telewizji. Tylko dwa razy z zimowych igrzysk przywieźliśmy więcej medali - z Vancouver (2010) i z Soczi (2014).

Oczywiście na włoskich igrzyskach nie zabrakło zgrzytów. Sprawą narodową stały się nowe sanki dla dwójki Dominika Piwkowska - Nikola Domowicz. Dziewczyny zaję-ły rewelacyjne szóste miejsce, ale na mecie poskarżyły się, że startują na dziewięcioletnim sprzęcie! Rozpoczęła się ogólnopolska debata. Cały naród ruszył, żeby im te nowe sanki kupić. Pojawiły się nawet internetowe zrzutki, by uzbierać 100 tys. zł.

Całą tę imbę przerwał Marek Skowroński, trener polskich saneczkarzy, który w rozmowie ze Sportowymi Faktami stwierdził, że sam zablokował zakup nowych sanek, bo przed igrzyskami nie czas jest na eksperymenty i testowanie sprzętu. Zresztą - jak przyznał - ma trochę miejsca na strychu i jak coś trzeba przerobić, to on sobie tam siedzi i dłubie. Polski Związek Sportów Saneczkowych nie ma bowiem ani mechanika, ani nawet warsztatu, nie mówiąc już o torze.

- No ale dlaczego powinniśmy zainwestować akurat w sanki? - słusznie zapytała posłanka Anna-Maria Żukowska.

Po pierwsze - na igrzyskach do rozdania było 12 kompletów medali na torze, a sporty te realnie uprawia ledwie kilka krajów na świecie. Po drugie - bo mamy zdolne dzieciaki i ludzi, którzy jeszcze tą pasją potrafią je zarazić. Jak długo im się będzie jeszcze chciało? Poza tym, im więcej sportu, tym zdrowsze społeczeństwo. Wszyscy więc jedziemy na jednych sankach.

Tylko dwa razy z zimowych igrzysk przywieźliśmy więcej medali niż z Cortiny - z Vancouver (2010) i z Soczi (2014)

eprasa.pl 880adb6eec

TO STRATEGICZNY BŁĄD IRANU?

Armia izraelska poinformowała, że przypuściła nową falę ataków na cele władz irańskich „w samym sercu Teheranu". Z kolei Iran ostrzelał Izrael i bazy USA na Bliskim Wschodzie

Grzegorz Kuczyński



FOT. PAP/EPA

Irańska rakieta trafiła w schron i synagogę. Rośnie liczba ofiar ataków na Izrael i kraje Zatoki Perskiej

Armia izraelska poinformowała, że przypuściła nową falę ataków na cele władz irańskich „w samym sercu Teheranu". Według agencji AFP w stolicy Iranu rozległy się głośne wybuchy. Z kolei Iran rano ostrzelał Izrael i bazy USA w Zatoce. Potem zaatakował Oman - po raz pierwszy. Trafiony został też tankowiec w Cieśninie Ormuz. Statek stanął w ogniu.

Omański port Duqm został w niedzielę zaatakowany przez dwa drony; zaatakowano również tankowiec w cieśninie Ormuz kilka kilometrów od omańskiej półeksklawy Musandam - poinformowała Omańska Agencja Państwowa.

W ataku na tankowiec Skylight płynący pod banderą Palau rannych zostało czterech marynarzy. Całą 20-osobową załogę składającą się z Indusów i Irańczyków ewakuowano. Okazuje się, że statek należy do tzw. floty cieni. Przewoził ropę... irańską.

To pierwsze uderzenie na Oman od rozpoczętych w sobotę ataków USA i Izraela na Iran i irańskich ataków odwetowych na bazy amerykańskie w regionie - podkreśliła agencja Reutera.

Napięcie w Cieśninie Ormuz

Co najmniej 150 tankowców, w tym przewożących ropę naftową i skroplony gaz ziemny (LNG), zostało unieruchomionych w Zatoce Perskiej - podał Reuters , powołując się na dane platformy MarineTraffic.

Po drugiej stronie kontrolowanej przez Iran cieśniny oczekuje ponadto kilkadziesiąt statków – podała agencja. Jak dodała, w Zatoce Perskiej tankowce zgromadziły się na otwartych wodach u wybrzeży głównych producentów ropy naftowej, w tym Iraku i Arabii Saudyjskiej, a także eksportera LNG – Kataru.

IRGC wydał w sobotę komunikat, w którym poinformowała, że statki znajdujące się w Zatoce Perskiej nie mają prawa przepływać przez znajdującą się pod jurysdykcją Iranu cieśninę. Bloomberg poinformował w niedzielę, że właściciele tankowców stali się ostrożni, a liczne statki gromadzą się zarówno u wejścia do cieśniny Ormuz, jak i u wyjścia z niej.

Według danych firmy konsultingowej Kpler w 2025 roku przez cieśninę przepływało ponad 14 mln baryłek ropy dziennie, z czego około trzech czwartych trafiało do Chin, Indii, Japonii i Korei Południowej. Chiny, druga co do wielkości gospodarka świata, pozyskują z cieśniny połowę importowanej ropy.

Izrael uderzył w Teheran

W ciągu ostatnich 24 godzin „izraelskie lotnictwo przeprowadziło uderzenia na dużą skalę, by osiągnąć przewagę w powietrzu i otworzyć drogę do Teheranu" – podano w krótkim komunikacie IDF w niedzielę rano.

Wcześniej agencja AP poinformowała, że w Teheranie słychać głośne eksplozje, a jedna z nich pochodziła najprawdopodobniej z dzielnicy, w której mieszczą się komenda główna policji oraz siedziba irańskiej telewizji państwowej.

Poranna salwa Iranu

Wcześniej w niedzielę, w Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, w stolicy Kataru, Doszе i w stolicy Bahrajnu Manamie słychać było nowe eksplozje - poinformowała agencja AFP, powołując się na znajdujących się na miejscu dziennikarzy i świadków. Iran wystrzelił też - trzecią od początku konfliktu - serię pocisków na Izrael.

Irańska telewizja państwowa podała, że w nowa fala ataków w niedzielę jest wymierzona m.in. w 27 baz amerykańskich na Bliskim Wschodzie oraz w kwaterę główną izraelskiego wojska i obiekty militarne w Tel Awiwie. Armia Izraela ostrzegła w niedzielę nad ranem, że do kraju zbliża się kolejna fala irańskich rakiet balistycznych.

Irańskie rakiety kierowały się na środkową i północną część Izraela. Według lekarzy nie ma doniesień o ofiarach lub bezpośrednich uderzeniach w obszarach mieszkalnych. Policja twierdzi, że otrzymała zgłoszenia o fragmentach rakiet i pocisków przechwytujących, które spadły w okolicy Jerozolimy, a straż pożarna i służby ratownicze informują, że reagują na wyciek gazu spowodowany spadającymi odłamkami na Zachodnim Brzegu.

Tymczasem Dowództwo Frontu Wewnętrznego Sił Obronnych Izraela informuje, że cywile przebywający na obszarach, na których rozległy się syreny, mogą opuścić schrony przeciwbombowe, ale powinni pozostać w ich pobliżu. Według służb bezpieczeństwa Izraela w sobotę Iran wystrzelił w kierunku Izraela ponad 100 rakiet i dronów.

Prezydent USA Donald Trump ocenił w sobotę w rozmowie z telewizją CBS News, że odwet Iranu na amerykańsko-izraelskie uderzenia jest słabszy, niż się spodziewali Amerykanie i ich sojusznicy.

Strategiczny błąd Iranu?

Ataki Iranu na arabskich sąsiadów przyniosły skutek odwrotny od zamierzonego; nie sprawiły, że tamtejsze rządy poparł Teheran zaatakowany przez USA i Izrael, a zaostrzyły podział między sunnickimi krajami Zatoki Perskiej a szyickim Iranem. - Zamiast zyskać poparcie innych państw Zatoki Perskiej, działania Teheranu wciągnęły je do „antyirańskiej koalicji" - powiedziała amerykańskiej stacji CNN Beth Sanner, była wiceszefowa Wywiadu Narodowego USA.

Kreml między młotem a kowadłem

Władimir Putin nazwał zabicie ajatollaha Alego Chameneiego „cynicznym naruszeniem norm moralności i prawa". Rosja potępiła sobotni atak USA i Izraela na Iran. Poza słowami oburzenia, nie może zrobić nic innego. Moskwa kolejny raz jest bezradna, gdy jej sojusznik jest w opałach.

Linia Rosji w sprawie wojny w Zatoce jest taka, jakiej można się było spodziewać. Moskiewscy urzędnicy potępili atak USA i Izraela na Iran. Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow przeprowadził rozmowę telefoniczną z ministrem spraw zagranicznych Iranu Abbasem Aragczim po atakach z 28 lutego, w której potępił ataki, wzywając Stany Zjednoczone i Izrael do natychmiastowego zaprzestania wszelkich działań wojennych i wznowienia wysiłków na rzecz dyplomatycznego rozwiązania problemów między Stanami Zjednoczonymi, Iranem i Izraelem.

Rosyjskie MSZ wydało podobne potępiające oświadczenie, nazywając ataki nieuzasadnionymi i stanowiącymi naruszenie prawa międzynarodowego. Skrytykowało Izrael za rzekome zapewnianie Rosji przed atakami, że nie jest zainteresowany zbrojną agresją wobec Iranu. MSZ wezwało do powrotu do dyplomacji i wyraziło gotowość Rosji do pomocy w ułatwieniu wznowienia rozmów.

Wiceprzewodniczący Rady Bezpieczeństwa Dmitrij Miedwiediew bezpośrednio skrytykował prezydenta USA Donalda Trumpa za atak na Iran, twierdząc na swoich angielskich i rosyjskich kanałach społecznościowych, że „strażnik pokoju" „pokazał swoje prawdziwe oblicze".

Standardowe potępienie przez Rosję ataków na Iran podkreśla ciągłe ograniczenia zdolności Rosji do wspierania Iranu oraz asymetrię stosunków rosyjsko-irańskich - wskazują analitycy amerykańskiego think-tanku ISW. Rosja podobnie potępiła starcie w czerwcu 2025 r. i nie była w stanie zapewnić Iranowi większego wsparcia w obronie przed atakami Izraela, a później Stanów Zjednoczonych.

Wojna Rosji na Ukrainie ogranicza zdolność Rosji do zapewnienia wsparcia militarnego Iranowi. Kreml musi zrównoważyć konkurujące interesy utrzymania stosunków ze swoimi sojusznikami, w tym Iranem, a jednocześnie próbować zresetować stosunki ze Stanami Zjednoczonymi na swoich warunkach Rosji, w tym uniknąć sankcji ze strony USA.

REKLAMA 0011470601



eprasa.pl 880adb6eec

Polska
Poniedziałek, 2.03.2026

AJATOLLAH ALI CHAMENEI NIE ŻYJE. KTO MOŻE GO ZASTĄPIĆ?

Czy śmierć ajatollaha Alego Chameneia może rozpocząć upadek reżimu w Iranie? Wciąż nie jest jasne, czy ataki doprowadzą do upadku Republiki Islamskiej, czy raczej zmian w ramach dotychczasowych struktur

Grzegorz Kuczyński

Proces przekazania władzy w Iranie po śmierci ajatollaha Alego Chameneiego rozpocznie się w niedzielę - oświadczył sekretarz irańskiej Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego Ali Laridżani, który był doradcą Chameneia. - Wkrótce zostanie sformowana tymczasowa rada przywódcza. Do czasu wyboru przyszłego przywódcy odpowiedzialność przejmą prezydent (Masud Pezeszkian), szef władzy sądowniczej (Golamhosejn Mohseni Edżei) oraz jeden z prawników Rady Strażników - oznajmił Laridżani w wywiadzie dla irańskiej telewizji państwowej.

Dodał, że rada przywódcza powstanie „jak najszybciej". - Od dzisiaj pracujemy nad jej sformowaniem - powiedział. Według niego tymczasowe kierownictwo może się ukonstytuować już w niedzielę.



FOT. PAP/EPA

Władze Iranu ogłosiły w niedzielę początek 40-dniowej żałoby. W Szirazie i Teheranie na ulice wyszły tysiące ludzi, wzywając armię do pomszczenia Alego Chameneia

Pezeszkian o śmierci Chameneiego

- Zabójstwo najwyższego przywódcy politycznego Islamskiej Republiki Iranu i wybitnego przywódcy szyizmu na całym świecie jest postrzegane jako otwarta deklaracja wojny wobec muzułmanów, a zwłaszcza szyitów, na całym świecie - powiedział Pezeszkian w oświadczeniu przekazanym przez państwową telewizję. Dodał, że pomszczenie śmierci Chameneiego jest prawem i obowiązkiem Islamskiej Republiki Iranu. - Islamska Republika Iranu uważa za swój uzasadniony obowiązek i prawo pomszczenie sprawców i pomysłodawców tej historycznej zbrodni - powiedział Pezeszkian.

O śmierci Chamenei napisał Trump

Prezydent USA napisał na Social Truth, że Chamenei nie żyje w sobotę wieczorem.

Pojawiły się doniesienia, jakoby premier Izraela widział zdjęcie, na którym widać zwłoki Alego Chameneiego. Także Donald Trump powiedział, że „mamy przeczucie, że ajatollah Ali Chamenei nie żyje". Izraelscy urzędnicy wielokrotnie powtarzali wcześniej, że Chamenei prawdopodobnie zginął - co jest prawdopodobnie pierwszym przypadkiem, kiedy Izrael bezpośrednio próbował zabić urzędującego przywódcę suwerennego państwa - ale nie było na ten temat żadnego oficjalnego komentarza ze strony Izraela. Minister spraw zagranicznych Iranu Abbas Aragczi powiedział, że Chamenei żyje, „o ile mi wiadomo".

W niepotwierdzonym raporcie informacyjnym Channel 12 podano, że Izrael, po uzgodnieniu z USA, zrzucił około 30 bomb na kompleks Chameneiego, a Chamenei przebywał pod ziemią w tym miejscu, ale nie w jednym z dwóch najgłębszych bunkrów, do których mogłyby dotrzeć tylko amerykańskie bomby. W raporcie tym twierdzi się również, że zginął sekretarz wojskowy Chameneiego oraz nieokreśleni członkowie rodziny.

Uderzenie w kierownictwo reżimu

Irańskie władze sądownicze potwierdziły też, że w wyniku sobotnich ataków USA i Izraela zginął szef Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) Mohammad Pakpour oraz bardzo wpływowy doradca ds. bezpieczeństwa, były sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego Ali Szamchani. Portal sądowniczy Mizan zaznaczył, że Pakpour i Szamchani „zginęli śmiercią męczeńską".

Następnie irańska telewizja państwowa, cytowana przez agencję Associated Press, podała, że w ataku powietrznym zginęli również szef sztabu generalnego sił zbrojnych Iranu Abdulrahim Musawi oraz minister obrony Aziz Nasir Zadeh. Według telewizji Musawi i Nasir Zadeh zginęli „podczas posiedzenia Rady Obrony".

Z kolei portal Axios przekazał, powołując się na izraelskich urzędników, że wśród zabitych są też szef wywiadu Saleh Asadi, szef biura wojskowego najwyższego przywódcy Mohammad Shirazi, przewodniczący Organizacji Badań i Innowacji w Zakresie Obronności (SPND) Hossein Jabal Amelian oraz były szef SPND, Reza Mozafari Nia.

Trump alepuje do Irańczyków

Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych ogłaszał „dużą operację wojskową" przeciwko Iranowi, dał jasno do zrozumienia, że jej celem jest obalenie reżimu. Donald Trump wezwał irański naród do wykorzystania okazji i przejęcia władzy.

- Do członków Islamskiej Gwardii Rewolucyjnej, sił zbrojnych i całej policji. Dzisiaj wieczorem mówię, że musicie złożyć broń i uzyskać całkowity immunitet, albo w przeciwnym razie czeka was pewna śmierć - mówi Trump w ośmiominutowym oświadczeniu wideo potwierdzającym amerykańskie ataki. - Do wielkiego, dumnego narodu Iranu mówię dziś wieczorem, że godzina waszej wolności jest bliska - kontynuuje. - Kiedy skończymy, przejmijcie władzę w swoim kraju. Będzie ona wasza. To prawdopodobnie jedyna szansa dla waszego pokolenia. (...) Przez wiele lat prosiliście Amerykę o pomoc, ale nigdy jej nie otrzymaliście... Zobaczmy więc, jak zareagujecie. (...) Nadszedł czas, aby przejąć kontrolę nad swoim losem i uwolnić pomyślną i chwalebną przyszłość, która jest w zasięgu ręki. To jest moment na działanie. Nie pozwólcie mu przeminąć.

Czy Reza Pahlavi ma szansę zastąpić ajatollahów?

Prezydent USA nie ujawnił jednak, kogo chciałby widzieć na miejscu obecnego reżimu. Czy taką osobą może być syn ostatniego szacha, Reza Pahlavi?

W sobotę 14 lutego na manifestacji w Toronto, będącej wyrazem solidarności z mieszkańcami Iranu, poparcia dla zmian politycznych oraz ostatniego syna szacha Iranu, który został obalony podczas islamskiej rewolucji w 1979 roku, zgromadziło się 350 tys. osób.

Manifestacja stanowiła część światowego dnia poparcia dla zmian w Iranie, organizowanego przez księcia Rezę Pahlawiego. On sam był wtedy w Monachium, gdzie zwrócił się do zgromadzonych mówiąc o przejściu Iranu do „demokratycznej i laickiej przyszłości".

W stolicy Bawarii zebrało się około 250 tys. osób - była to największa w historii Europy manifestacja przeciwników irańskich władz.

Królewski wygnaniec

Urodzony w 1960 roku Reza Pahlavi został ogłoszony księciem koronnym w 1967 r. podczas koronacji swojego ojca w Teheranie. W wieku 17 lat wyjechał z Iranu do USA, żeby szkolić się na pilota latającego na myśliwcach. Rewolucja islamska zastała księcia za granicą. Po śmierci jego wygnanego ojca w Kairze, Rezę dwór królewski uznał za nowego szacha, co było gestem jedynie symbolicznym.

W Stanach Zjednoczonych zdobył dyplom politologa na Uniwersytecie Południowej Karoliny. Do dziś mieszka w stanie Maryland w USA. Ma żonę, Jasmin - także irańską emigrantkę - oraz trzy córki. Pahlavi często wzywał do zmian, szczególnie podczas okresów niepokojów, w tym masowych demonstracji w 2009 r. w związku z kontrowersyjnymi wyborami oraz ogólnokrajowych protestów w 2022 r. w związku ze śmiercią Mahsy Amini, młodej kobiety, która zmarła podczas pobytu w areszcie za rzekome naruszenie islamskich zasad dotyczących ubioru.

Jednak dopiero ostatnia fala protestów w Iranie sprawiła, że mówi się o nim dużo częściej, także na ulicach jego kraju, no i on sam jest dużo bardziej aktywny. Reza Pahlavi wzywał Stany Zjednoczone do aktywnej interwencji i obiecywał „ponownie uczynić Iran wielkim". Cieszy się nieoficjalnym poparciem Waszyngtonu i Tel Awiwu (w 2023 roku spotkał się nawet z Netanjahu i prezydentem Izraela), ale w Iranie jego wpływ trudno ocenić - raczej jest mniejszy niż większy.

Trudno jest ocenić, jak duże poparcie społeczne ma obecnie Pahlavi w Iranie, gdzie nie był od dziesięcioleci. Niektórzy protestujący wyrazili poparcie dla niego w filmach krążących w mediach społecznościowych, skandując „Niech żyje szach", co sugeruje, że jego wiadomości mogą mobilizować niektórych ludzi.

Pahlavi powiedział Irańczykom, że jest gotowy poprowadzić transformację. Od dawna twierdził, że pozwoli ludziom zdecydować, kto powinien nimi rządzić, ale jasno dał do zrozumienia, że chce końca rządów teokratycznych.

Jednak atrakcyjność Rezy Pahlaviego dla Irańczyków wydaje się ograniczona historią jego rodziny i jego bliskimi powiązaniami z Izraelem. Rządy szacha były brutalne, a funkcjonariusze politycznej policji SAVAK jako pierwsi zawiśli na drzewach i słupach w czasie rewolucji 1979.

Michael Rubin, ekspert American Enterprise Institute, ocenił, że Reza Pahlawi nie musi powtórzyć błędów ojca, ponieważ rozumie, jakie „ekscesy" miały miejsce, a czasy szacha kojarzą się Irańczykom nie tylko z brutalną policją i przepychem, ale również z dynamicznie rozwijającą się gospodarką.

Nie brakuje krytyków Pahlaviego. Niektórzy wskazują na wojowniczość części jego rojalistycznych zwolenników. Jednak coraz większa liczba Irańczyków, zarówno w kraju, jak i w diasporze, zaczęła postrzegać go jako najbardziej wiarygodną postać mogącą jednoczyć ludzi.

Sondaż przeprowadzony przez Gamaan, renomowaną organizację sondażową z siedzibą w Holandii, wskazuje, że popiera go około jedna trzecia respondentów, a podobna liczba jest przeciwna lub niezdecydowana. Nie ma nikogo innego na irańskiej scenie politycznej, kto osiągnąłby choćby zbliżony wynik w sondażach.

Co najważniejsze, Reza wielokrotnie podkreślał, że nie dąży do władzy dla samej władzy. Swoją rolę opisuje jako wyraźnie przejściową: pomóc Iranowi wyjść z ruin Islamskiej Republiki i przejść do demokratycznego, świeckiego porządku, którego ostateczny kształt będzie zależał od woli irańskiego narodu.

W kulturze politycznej naznaczonej absolutyzmem - zarówno monarchicznym, jak i duchownym - to ma znaczenie.

eprasa.pl 880adb6eec

REKLAMA

0011484976

Bankowość
Korporacyjna
i Inwestycyjna







Udzielenie kredytu i zawarcie umowy leasingu są uzależnione od oceny zdolności kredytowej i sytuacji finansowej klienta. Szczegóły oraz tabela prowizji i opłat są dostępne w oddziałach PKO Banku Polskiego oraz na stronie pkobp.pl.

Bank Polski

Czysta energia
jest wokół nas

PKO Bank Polski.
Partner w finansowaniu
transformacji
energetycznej

Leasing
Faktoring
Bankowość transakcyjna
Finansowanie handlu
Produkty kredytowe
Oddziały zagraniczne

eprasa.pl 880adb6eec

POLACY UTKNĘLI NA LOTNISKACH BLISKIEGO WSCHODU

Linie lotnicze odwołują loty na Bliski Wschód, także te powrotne. Na lotniskach w Dubaju, Bangkoku, czy w Dosze utknęło tysiące turystów. Bloomberg określił, że skala zakłóceń w ruchu lotniczym jest „niespotykana od dziesięcioleci". MSZ ponownie apeluje o „natychmiastowe opuszczenie" Iranu i Libanu oraz „unikanie podróży do całego regionu, w tym do Izraela"

Dorota Kowalska



FOT. ALTAF QADRI/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

Pasażerowie utknęli m.in. w Dubaju. Tamtejsze lotnisko ma zostać otwarte w poniedziałek

Atak Izraela i Stanów Zjednoczonych na Iran doprowadził do lotniczego chaosu. Tysiące turystów, także z Polski, utknęło na lotniskach Bliskiego Wschodu. I to nie tylko ci, którzy polecieli tam na wakacje, porty lotnicze w Bangkoku, czy w Dosze są kluczowym punktem przesiadkowym dla podróżnych z Europy, udających się do Azji.

- Jest tu bardzo dużo personelu. Rozdawali wodę, kocę i vouchery na jednorazowy posiłek – mówił WP pan Jakub, który w sobotę próbował opuścić Tajlandię. Udało mu się dotrzeć do Dohy, stolicy Kataru. Kolejne połączenie w kierunku Polski zostało już zawrócone.

Jak relacjonował podróżny, dostał propozycję noclegu w hotelu, ale na miejsce trzeba było czekać w wielogodzinnych kolejkach. - W końcu w nocy zabrakło miejsc - tłumaczył. Sytuacja poprawiła się dopiero nad ranem. W tym czasie obsługa lotniskowa udzielała informacji podróżnym. - Często sprzecznych ze sobą, szczególnie na początku ataku – dodał pan Jakub. Nie ma planów alternatywnego powrotu do kraju. Muszą czekać na otwarcie przestrzeni powietrznej.

Polscy turyści utknęli także w Dubaju, do którego latamy często i chętnie zwłaszcza w zimie. W nocy z soboty na niedziele na forach internetowych pojawiły się wpisy osób, próbujących przyspieszyć powrót do Polski. Internauci radzili, by zamówić taksówkę i udać się nią na granicę z Omanem i dopiero z tego kraju starać się złapać lot w kierunku Europy.

Bloomberg określił, że skala zakłóceń w ruchu lotniczym w tym regionie jest „niespotykana od dziesięcioleci". Władze dubajskich portów lotniczych przekazały, że wszystkie odloty i przyloty z dwóch głównych lotnisk w mieście zostały zawieszone. Dubai Media Office zaapelowało, by podróżni nie udawali się obecnie na lotnisko i kontaktowali się bezpośrednio z liniami lotniczymi, bo tam uzyskają aktualne informacji o swoich rejsach.

W Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Katarze i Bahrajnie znajdują się amerykańskie bazy wojskowe i to one stały się celem irańskiego odwetu po nalotach USA i Izraela na terytorium Islamskiej Republiki.

Szef MSZ Radosław Sikorski stwierdził w sobotę wieczorem, że Polacy „uwięzieni" na lotniskach w regionie Bliskiego Wschodu, póki co, są bezpieczni.

- Ale jak wiemy sytuacja zmienia się co chwila, więc mam nadzieję, że tym razem wszyscy doceniają, że od wielu tygodni apelowaliśmy, aby nie udawać się do krajów Bliskiego Wschodu i bardzo proszę o traktowanie tych ostrzeżeń poważnie – mówił Radosław Sikorski w TVN24. - Tydzień temu sam premier ostrzegał przed rozwijającą się sytuacją wokół Iranu. Tam, dzięki Bogu, mamy więcej pracowników ambasady, niż Polaków przebywających w Iranie, ale pewna liczba naszych rodaków utknęła na lotniskach w tym regionie - zaznaczył minister. Dodał, że są za nich odpowiedzialne linie lotnicze, a polscy konsulowie starają się do nich dotrzeć.

Jak powtórzył „sytuacja zmienia się co chwila".

- Na dzisiaj bezpieczny jest Egipt i jeszcze są loty - ale to się może zmienić - z Jordanii i Arabii Saudyjskiej. Wydaje się, że najbezpieczniejsza droga wyjazdu, to już w tej chwili droga lądowa - ocenił Sikorski.

Pytany, na ile Europejczycy i Polska byli konsultowani przez USA i Izrael przed tym atakiem, odpowiedział, że „konsultowani, to za duże słowo", ale mieli pewną wiedzę uprzedzającą, o której szczegółach nie chciał jednak rozmawiać.

Rzecznik MSZ Maciej Wewiór podkreślił w sobotę, że resort zdecydowanie odradza podróże do oraz przez region Bliskiego Wschodu.

Na profilu kancelarii premiera na platformie X opublikowano numery do polskich konsulów: w Teheranie: +98 902 910 4940; w Bagdadzie: +961 71 00 2915 oraz w Tel Awiwie: +972 547 444 106.

Jednocześnie powtórzono komunikat z apelem o „natychmiastowe opuszczenie" Iranu i Libanu oraz „unikanie podróży do całego regionu, w tym do Izraela". „Jeśli przebywasz w Iranie, Libanie lub Izraelu zabezpiecz dokumenty, zabezpiecz środki finansowe, zarejestruj się w systemie Odyseusz" - dodano.

Rzecznik PLL LOT Krzysztof Moczulski poinformował w sobotę wieczorem na X, że przewoźnik podjął decyzję o zawieszeniu połączeń do Tel Awiwu (Izrael) do 15 marca włącznie. Dodał, że zgodnie z rekomendacją EASA (Agencja Unii Europejskiej ds. Bezpieczeństwa Lotniczego) zdecydowano również o odwołaniu rejsów do Dubaju (Zjednoczone Emiraty Arabskie) i Rijadu (Arabia Saudyjska) do 2 marca.

Loty w regionie odwołały także brytyjska linia lotnicza Virgin Atlantic, Air Arabia, Norwegian Air Shuttle (z i do Dubaju), Air France (do i z Tel Awiwu i Bejrutu), holenderska KLM (na linii Amsterdam - Tel Awiw), Wizzair (połączenia z Izraelem, Dubajem, Abu Zabi i Ammanem do 7 marca), Lufthansa (połączenia z Tel Awiwem, Bejrutem, Omanem; do 7 marca), Qatar Airways, Turkish Airlines (połączenia z Katarem, Kuwejtem, Bahrajnem, ZEA, Omanem), Bulgaria Air (połączenia z Tel Awiwem do 2 marca) i Air India do wszystkich krajów Bliskiego Wschodu.

Ale też, nie wiadomo, jak rozwinie się sytuacja na Bliskim Wschodzie.

Premier Donald Tusk przekazał w sobotę, że odebrał meldunki MON i MSZ w związku z atakiem Izraela i USA na Iran.

„W tej chwili nasi obywatele, w tym personel polskiej ambasady w Teheranie, są bezpieczni, ale jesteśmy przygotowani na różne scenariusze" - zaznaczył szef rządu.

Prezydent Karol Nawrocki poinformował, że jest na bieżąco informowany o sobotnich atakach na cele w Iranie. Dodał, że pozostaje w stałej łączności z sojusznikami z NATO i instytucjami państwa.

Sikorski pytany w TVN24, jakie konsekwencje wojna na Bliskim Wschodzie może przynieść Polsce znaczył, że „nasze interesy mogą doznać korzyści lub uszczerbku nawet w bardzo odległych regionach". - Jeśli Iran zrealizuje swoje groźby i spróbuje odciąć np. Cieśninę Ormuz i ruch tankowców, no to wzrost ceny ropy, jesteśmy krajem importerem, będzie miał wpływ i na nas, i na wojnę w Ukrainie, bo da być może Putinowi więcej pieniędzy ze sprzedaży ropy. To samo jeśli chodzi o ceny złota, no bo Putin ma ponad 2 tys. ton złota – mówił. Przypomniał również, że Iran wykorzystuje obecnie drony Shahed, z których do ataków na Ukrainę korzysta też Rosja.

Dopytywany o to, w jaki sposób Ukraina może zapłacić cenę za to, co dzieje się w Iranie, Sikorski podkreślił, że takie skutki trudno przewidzieć. - One będą wielowymiarowe i czasami trudne do przewidzenia. Oczywiście wiele zależy od tego, czy akcja amerykańska się po prostu uda, czy zrealizuje swoje cele. Bo gdyby się udała, nawet w sensie czysto takim wojskowym, jak w Wenezueli, to Rosja może na tym wcale nie zyskać - wskazał.

Wicepremier przyznał, że operacja w Iranie ma dużą skalę, a cele, które nakreślił prezydent USA Donald Trump są ambitne. Spytany, czy to moment, w którym Iran jest na krawędzi rewolucji, minister zaznaczył, że jest to kraj, który przez kilkadziesiąt lat wspierał terroryzm, a jego władza jest zideologizowana. - To jest taka ostatnia utopia dwudziestowieczna. Mieliśmy nazizm, mieliśmy komunizm i właśnie teokrację irańską - wskazał.

W niedzielę unijni ministrowie spraw zagranicznych rozmawiali w formie wideokonferencji o sytuacji w Iranie i stanowisku UE wobec tych wydarzeń.

PAP

eprasa.pl 880adb6eec

OBIEKTY, URAN, RAKIETY. CO WIEMY O PROGRAMIE JĄDROWYM IRANU?



FOT. AFP/EAST NEWS

Główny zakład wzbogacania uranu w Natanz (zdjęcie z 2019 r.) został zbombardowany przez USA w ub. roku

Głównym żądaniem USA pod adresem Iranu jest rezygnacja z ambicji rozwoju programu atomowego do poziomu pozwalającego wyprodukować broń atomową. Temu ma służyć ten atak, podobnie jak poprzednie bombardowania, które miały miejsce w ubiegłym roku

Grzegorz Kuczyński

Jądrowe ambicje Teheranu od lat są głównym punktem zapalnym w relacjach islamskiej republiki z Zachodem. Iran zapewnia, że jego program atomowy ma wyłącznie cele pokojowe. Co obecnie wiadomo na temat instalacji jądrowych i zasobów wzbogaconego uranu posiadanych przez kraj znajdujący się ponownie – w zbrojnym konflikcie z USA i Izraelem?

Od dziesięcioleci Iran jest podejrzany o ambicje nuklearne i rozwijanie zdolności do uzyskania broni atomowej. W przełomowym międzynarodowym porozumieniu z 2015 r. zgodził się ograniczyć swoją działalność nuklearną w zamian za złagodzenie sankcji. Porozumienie to zostało jednak podważone trzy lata później, kiedy prezydent Donald Trump jednostronnie wycofał Stany Zjednoczone z paktu podczas swojej pierwszej kadencji.

Problem atomowych ambicji Iranu wrócił

Druga administracja Trumpa prowadziła w zeszłym roku rozmowy w celu osiągnięcia nowego porozumienia, negocjacje te zerwano jednak po zbombardowaniu irańskich obiektów jądrowych przez Izrael i Stany Zjednoczone w czerwcu 2025 . Mimo że Trump powiedział wówczas, że irański program jądrowy został „zniszczony", od tego czasu zwiększył presję na Islamską Republikę, aby zgodziła się na nowe porozumienie, ostrzegając, że Stany Zjednoczone mogą przeprowadzić „znacznie gorszy" atak. Trump początkowo groził interwencją wojskową w odpowiedzi na brutalne stłumienie antyrządowych protestów, po czym skupił się na potencjale atomowym Iranu. W lutym obie strony wznowiły rozmowy.

Dlaczego program jądrowy Iranu budzi obawy?

Iran zawsze utrzymywał, że jego program jądrowy ma charakter pokojowy i służy celom energetycznym. Prezydent Masoud Pezeszkian powiedział we wrześniu przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ, że „Iran nigdy nie dążył i nigdy nie będzie dążył do budowy bomby atomowej".

Jednak zaledwie dzień przed rozpoczęciem izraelskich ataków w czerwcu ub.r. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej – organ ONZ nadzorujący kwestie jądrowe – skrytykowała Iran, twierdząc, że naruszył on swoje zobowiązania do współpracy z inspektorami i że agencja nie jest w stanie ustalić, czy program jądrowy tego kraju ma „wyłącznie pokojowy charakter".

MAEA rozlicza zmiany w zapasach uranu na całym świecie z dokładnością do grama, aby zapewnić, że materiał ten nie jest wykorzystywany do produkcji broni. Od czasu ataków w czerwcu Iran uniemożliwił agencji weryfikację wielkości i lokalizacji swoich zapasów uranu o jakości zbliżonej do poziomu umożliwiającego produkcję broni, co spowodowało powrót szeroko zakrojonych sankcji ONZ.

Kiedy inspektorzy MAEA mieli ostatni raz dostęp do irańskich rezerw uranu, ustalili, że kraj ten zgromadził 441 kilogramów uranu wzbogaconego do 60% – co stanowi wzrost o ponad 50% w porównaniu z lutym 2025. Po dalszym przetworzeniu materiał ten wystarczyłby do wyprodukowania kilkunastu bomb atomowych.

Chociaż aktualny stan zapasów uranu w Iranie nie jest jasny, kraj ten nadal dysponuje techniczną wiedzą na temat wzbogacania uranu, co mogłoby mu umożliwić stosunkowo łatwą odbudowę programu jądrowego.

Czy Iran ma możliwość budowy broni jądrowej?

Uran naturalny składa się głównie z dwóch izotopów: U-238 i U-235. Ten drugi ma kluczowe znaczenie dla reakcji rozszczepienia niezbędnej zarówno do wytwarzania energii jądrowej, jak i broni jądrowej, ale występuje w niskich stężeniach w surowej rudzie uranu. Materiał ten musi zatem zostać wzbogacony w celu zwiększenia stężenia U-235, co odbywa się za pomocą tysięcy wirówek obracających się z prędkością ponaddźwiękową w celu oddzielenia izotopów.

Do zasilania większości elektrowni jądrowych wymagany jest próg 3,7%. Wszystko powyżej 20% definiuje się jako „uranu wysoko wzbogacone", ponieważ na tym etapie wymagają one specjalnego traktowania, a osiągnięcie poziomu broniowego jest stosunkowo szybkim procesem. Typowe stężenie uranu w broni jądrowej wynosi 90%. Uran wzbogacony do 60% może nadal być wykorzystywany w prymitywnej bombie, choć o mniejszej mocy i niezawodności.

Ulepszenie uranu do poziomu 90% wzbogacenia nie stanowi wyzwania technicznego; wystarczy kilkaset wirówek, aby osiągnąć ten poziom w ciągu kilku tygodni lub miesięcy. Jednak aby przejść do kolejnego etapu procesu, czyli przetworzenia uranu w metal, który można wykorzystać do produkcji bomby, Iran musiałby zastąpić moce produkcyjne zniszczone podczas czerwcowych ataków na zakład w Isfahanie.

Oprócz materiałów rozszczepialnych Iran potrzebowałby mechanizmu bombowego i środków do jego dostarczenia. Prawdopodobnie Iran dysponuje już wiedzą techniczną niezbędną do produkcji prostego urządzenia, takiego jak to, które Stany Zjednoczone zrzuciły na Hiroszimę w Japonii w 1945 roku.

Aby uderzyć w odległy cel, Iran potrzebowałby jednak głowicy bojowej, która byłaby wystarczająco mała, aby zmieścić się na jednym z jego pocisków balistycznych i przetrwała ponowne wejście w atmosferę ziemską. Nie przeprowadził on testów, które sugerowałyby, że wie, jak wykonać głowicę nuklearną. Szacunki dotyczące czasu potrzebnego Iranowi na zakończenie niezbędnych działań wahają się od czterech miesięcy do dwóch lat. Jego najpotężniejsza rakieta balistyczna ma szacowany zasięg nawet 5000 km.

Co wiemy o atomowych instalacjach Iranu?

Nie wiadomo, czy po ataku z czerwca 2025 nadal można prowadzić wzbogacanie uranu w dwóch znanych irańskich zakładach, Fordow i Natanz. Zdjęcia satelitarne wykazały poważne uszkodzenia na powierzchni spowodowane przez amerykańskie bomby burzące bunkry, ale nie jest jasne, w jakim stopniu wpłynęło to na głęboko zakopane obiekty.

Główny zakład wzbogacania uranu w Natanz, położony w centrum kraju, obejmował konstrukcje znajdujące się ponad 40 metrów pod powierzchnią ziemi, chronione stalową i betonową powłoką, której grubość naukowcy oszacowali na osiem metrów. Fordow był jeszcze bardziej ufortyfikowany, zbudowany na zboczu góry i prawdopodobnie zakopany ok.60 do 90 metrów pod ziemią.

Chociaż Trump stwierdził, że irański program jądrowy został zniszczony przez amerykańskie ataki w zeszłym roku, eksperci są zgodni, że kraj ten zachował kluczowe zdolności. Wstępna analiza Pentagonu szacuje, że irański program został opóźniony o jeden do dwóch lat. Trudno oczekiwać uzyskania pełnego obrazu sytuacji, dopóki inspektorzy MAEA nie będą mogli fizycznie zweryfikować szkód w obiektach.

Możliwe, że Iran mógłby dalej wzbogacać pozostały wysoko wzbogacony uran w obiekcie nieznanym światu zewnętrznemu. W połowie czerwca Irańska Organizacja Energii Atomowej poinformowała, że w nieokreślonej, bezpiecznej lokalizacji zbudowano trzecią fabrykę wzbogacania. Warto pamiętać, że kiedyś Natanz i Fordow też zostały zbudowane w tajemnicy, a inspektorzy MAEA zostali wpuszczeni do nich dopiero po prawie całkowitym ukończeniu budowy.

REKLAMA 0011461412



eprasa.pl 880adb6eec

Polska
Poniedziałek, 2.03.2026

MINISTER STEFAN KRAJEWSKI: JA BRONI NIE SKŁADAM

O umowie Mercosour, obowiązkowym flagowaniu warzyw i owoców, walce o rekordowy budżet oraz o zniesieniu barier w handlu z Australią i otwarciu nowych rynków na polskie produkty rozmawiamy z ministrem rolnictwa Stefanem Krajewskim

Martyna Jurkowska

Umowa Mercosour została skierowana do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Polscy rolnicy mają powód do zadowolenia?
Skierowanie tej umowy do TSUE ma za zadanie sprawdzić jej zgodność z przepisami prawa unijnego. Ale też zgodność z traktatami i to, jaki będzie ona miała wpływ na przyszłość funkcjonowania Unii Europejskiej.

Czy można mieć zatem nadzieję, że napływ taniej żywności do Polski zostanie zablokowany?
To jest postępowanie, które sprawdza zgodność umowy z zasadami sprawiedliwości Unii Europejskiej. My w tej sprawie cały czas działaliśmy dwutorowo. Od początku chcieliśmy zablokować umowę z krajami Mercosour, a później - widząc już, że nie ma możliwości zbudowania mniejszości blokującej - podjęliśmy działania, żeby wprowadzić klauzule ochronne, pewien hamulec bezpieczeństwa. Po to, aby chronić przyszłość polskich, ale też europejskich rolników i przetwórców.

Nie jest tajemnicą, że polska żywność musi się bronić. Wprowadzone niedawno obowiązkowe flagowanie warzyw i owoców to kolejny krok ku temu?
Z jednej strony mamy flagowanie owoców i warzyw, które są sprzedawane luzem, i oznaczanie półek, a z drugiej strony jest pełna informacja na opakowaniu. Ale to też dwie duże akcje informacyjne, które prowadzi Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi wspólnie z Krajowym Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa. Pierwsza to #Kupuj świadomie, która odwołuje się do świadomego wyboru konsumentów, do tego, żeby analizować etykiety, sprawdzać, skąd dany produkt pochodzi, jaką drogę przebył, co zawiera. Kolejna, #Produkt polski z flagą biało-czerwoną, jest gwarantem tego, że produkt powstał na miejscu, nie przyjechał z obcego kraju, obcego kontynentu. Cały czas odwołujemy się do wyboru konsumentów, bo tak naprawdę to oni decydują ostatecznie, jakie produkty znajdą się w ich koszykach i na ich stołach.

Jak już mówimy o polskich produktach, to nie mogę nie zapytać o otwarcie nowych rynków na polskie produkty. Czy coś nowego pojawiło się w tym temacie?
Podjęliśmy działania, żeby ekspansję na rynki zewnętrzne zwiększać i są już tego efekty. Wartość eksportu produktów rolnych w 2025 roku była rekordowa i jej wartość wyniosła 248 miliardów złotych, co stanowi już 16 proc. całego naszego eksportu. Nadwyżka w tym bilansie handlowym eksportu nad importem to prawie 20 miliardów euro, a to oznacza zwiększenie o prawie 2 miliardy w porównaniu z rokiem 2024. To odblokowanie rynku filipińskiego dla polskiej wieprzowiny, odblokowanie rynku Malediw dla polskiej wołowiny, szukanie rynków zbytu. Ale jeszcze raz podkreślę to, co ważne - żebyśmy zwiększali konsumpcję naszych polskich produktów. Wtedy nie będziemy musieli importować, ale też nie będziemy musieli zwiększać eksportu. Oczywiście mamy dużą nadwyżkę, bo jesteśmy krajem samowystarczalnym, jeśli chodzi o produkcję żywności, ale jesteśmy jednym z wiodących eksporterów żywności w Unii Europejskiej i na świecie i to dalej rozwijamy. Rozmowy w Brukseli dotyczą też choćby otwarcia rynku brazylijskiego dla polskich jabłek, czy też szukania nowych rynków zbytu. W planach jest wyjazdowa misja handlowa komisarza rolnictwa, w której uczestniczyć będą też polskie firmy i polscy producenci, którzy chcą otwierać się np. na rynek Tajlandii, czy inne rynki na świecie.

Jak już mówimy o Brukseli, to muszę zapytać o kwestie związane z budżetem na rolnictwo po 2027 roku. Czy w tym temacie możemy być optymistami, że do Polski wpłyną duże środki?
Tak naprawdę walka o budżet dopiero się rozpoczęła. To są uzgodnienia, ale walczymy o to, żeby ten budżet dla Polski był rekordowy. Też w tym budżet na rolnictwo, na obszary wiejskie, na podnoszenie konkurencyjności i odporności polskiego rolnictwa, na przetwórstwo. Rozmawiamy o kwocie ponad 43, prawie 44 miliardów euro, które mają popłynąć na polską wieś, na polskie rolnictwo. Nie ustąpimy w tej walce. Żeby te środki były jak największe, nasze potrzeby będę na pewno mocno artykułował. Polska doskonale wykorzystała szansę obecności w Unii Europejskiej, musimy to dalej utrzymać i rozwijać. Mamy ogromny potencjał, bo przecież polska żywność i polskie rolnictwo są naszą marką. Bardzo cenioną i rozpoznawalną na świecie, ale to wciąż potrzebuje wsparcia i o to zabiegamy.



FOT. ADAM JANKOWSKI

Min. Krajewski: Nikt nie zamierzał i nie zamierza rugować małych rolników, którzy prowadzą swoje gospodarstwa

Nie jest tajemnicą, że Komisja Europejska negocjuje kolejne porozumienie - tym razem o zniesieniu barier w handlu z Australią. W Polsce najbardziej zagrożoną grupą mogą być producenci wołowiny. Czy mają się czego bać?
Wszystko to analizujemy. Z jednej strony wiemy, że Australia to jest duży producent wołowiny i jagnięciny, z drugiej strony docierają do nas też sygnały, że rolnicy z Australii także obawiają się tej umowy, bo jako Polska i Europa możemy im zagrażać w kwestii mleczarstwa. Cała Europa odpowiada przecież za 31 proc. światowej produkcji artykułów mleczarskich. Nasze mleczarstwo polskie mamy na najwyższym poziomie, zbudowane przez lata w oparciu przede wszystkim o spółdzielczość, która się sprawdziła. I która jest dowodem na to, że można organizować się i wykorzystywać tę przewagę związaną ze współpracą wśród rolników i zakładów.

Przygotował pan projekt podniesienia premii dla młodych rolników z 200 tys. zł do 300 tys. zł. Na czym ma to polegać i dlaczego jest tak ważne?
Zwiększenie premii dla młodych rolników z 200 do 300 tysięcy złotych miałoby objąć rolników, którzy deklarują - oprócz produkcji roślinnej - także produkcję zwierzęcą. Jeżeli mówimy o odtwarzaniu hodowli, o jej wzmacnianiu, to dzisiaj potrzeba dodatkowych środków dla tych właśnie rolników, bo te gospodarstwa wymagają nie tylko większych nakładów inwestycyjnych, ale też większego zaangażowania pracy i dlatego ta premia powinna w tym przypadku być większa. Te zmiany będą już wchodzić, bo były przedmiotem uzgodnień na Komitecie Monitorującym, uzgodnień z Komisją Europejską.

Prezydent zawetował ustawę o Aktywnym Rolniku, która - cytując pana - „miała zakończyć patologie, z którymi wszyscy się kiedyś zgadzali". Jak pan to skomentuje?
Dziwię się, że doradcy, którzy w 2014 roku wpisywali „Aktywnego Rolnika" do programu wyborczego Prawa i Sprawiedliwości, który miał być elementem wsparcia polskiej wsi, dzisiaj mówią, że jest to złe i niepotrzebne rozwiązanie. Oczywiście, pan prezydent nie musi mieć fachowej wiedzy w obszarze rolnictwa, ale powołał radę i ekspertów, którzy, niestety, źle mu doradzają. Ten postulat był zgłaszany na wielu spotkaniach i protestach. Po to, żeby pieniądze trafiały do rolników aktywnych, czynnych, którzy każdego dnia pracują ciężko w rolnictwie. Żeby ten przepływ ograniczyć do tzw. rolników marszałkowskich, którzy tej działalności nie prowadzą. Dziwi mnie bardzo ta hipokryzja posłów, jak choćby pan Jacek Bogucki, który doskonale zna potrzebę wprowadzenia tych zmian, a dzisiaj opowiada o tym, że ktoś chce jakiś agroholding budować i rugować rolników. A przecież nikt nie zamierzał i nie zamierza rugować małych rolników, którzy prowadzą swoje gospodarstwa. Chodzi tylko o to, żeby ta pomoc była dzielona sprawiedliwie, żeby trafiała ona do tych, którzy z jednej strony mają przychód, a z drugiej strony ponoszą koszty związane z prowadzeniem gospodarstwa. To jest bardzo widoczne w województwie podlaskim, ale i w całej Polsce. Zewsząd płynie mnóstwo głosów, że w końcu mógł być zrobiony porządek, ale decyzją pana prezydenta zostało to zablokowane. Ja broni nie składam i będę robił wszystko, żeby te pieniądze popłynęły do aktywnych rolników.

W ostatnich dniach Podlaskie Porozumienie Rolnicze wystosowało petycję w sprawie zablokowania wejścia w życie projektu rządowego pn. „Strategia ochrony obszarów wodno-błotnych w Polsce wraz z Planem działań". Żądają jej zablokowania. Jakie jest stanowisko ministra w tej sprawie?
Jestem za tym, żeby utrzymywać te obszary wodno-błotne chronione tam, gdzie nie są użytkowane rolniczo. W województwie podlaskim głównie to są obszary, które stanowią bazę paszową dla producentów bydła mlecznego, producentów mleka i i nie powinniśmy tej ziemi z produkcji rolniczej wyłączać. Ale trzeba też pamiętać, że ten temat nie wziął się wczoraj, ale wynika z przepisów, które funkcjonują od lat siedemdziesiątych poprzedniego wieku. Ochrona obszarów wodno-błotnych wynika z Konwencji Ramsarskiej, która została podpisana 2 lutego 1971 roku w Ramsarze w Iranie. Ratyfikowało ją 171 państw i tak naprawdę reprezentują wszystkie regiony geograficzne świata. Wyznaczono wtedy 2372 obszary wodno-błotne o międzynarodowym znaczeniu. Ważne jest, żebyśmy przede wszystkim słuchali rolników. I skoro te obszary w latach sześćdziesiątych XX wieku zostały przygotowane do wykorzystania rolniczego, to nie powinniśmy tego zmieniać. Oczywiście, za ochronę mokradeł nie odpowiada minister rolnictwa, tylko minister klimatu i środowiska poprzez parki narodowe, m.in. Narwiański czy Biebrzański, i one są chronione. Jedno nie musi wyłączać drugiego.

Najnowsze dane GUS oraz rejestrów BIG i BIK wskazują na pogorszenie sytuacji finansowej rolnictwa - spadek cen skupu o 10,9 proc. rok do roku, narastające problemy zadłużeniowe firm oraz szczególnie trudną sytuację producentów trzody chlewnej i mleka. Jak rozwiązać te bolączki?
Sytuacja jest bardzo trudna na całym świecie, dobrze to widzimy. Minister nie ma wpływu w żaden sposób na ceny rynkowe czy na to, jakie są tendencje na rynku. Po to właśnie szukamy nowych rynków zbytu, żeby eksportować i wywozić produkty z Polski. Ale musi być też zachowana pewna cena, żeby to było opłacalne. Nie na wszystko mamy wpływ, ale staramy się zabezpieczać interes, przygotowywać wsparcie, rozwiązania, kredyty, z jednej strony obrotowe, z drugiej konsolidacyjne, żeby wpływać na poprawę sytuacji rolników. Musimy też pamiętać, że jesteśmy na jednolitym rynku europejskim i i nie możemy bez zgody Unii Europejskiej stosować mechanizmów.

eprasa.pl 880adb6eec

Radosław Dimitrow

Makabryczne morderstwo w Kadłubie

Ta makabryczna historia wstrząsnęła całą Polską. Policja odkryła w internecie film przedstawiający zbrodnię i w Kadłubie na Opolszczyźnie odnalazła zwłoki dwóch osób. Autor filmu i podejrzany o zabójstwo został pojmany. 17-latek przyznał się do zabicia siekierą ojczyma i babci. Prokurator Piotr Krzemionka-Kowalski, pytany o powody tak bestialskiego działania zabójcy, przyznał, że wyjaśnienia nastolatka są niejasne i niekonkretne

Ta zbrodnia wstrzsnęła Polską w ubiegłym tygodniu. Około godziny czwartej nad ranem w czwartek policjanci Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości natrafili w sieci na drastyczne materiały wideo przedstawiające egzekucję śpiących ludzi.

Błyskawiczne działanie cyberpolicji doprowadziło do wytypowania konkretnego adresu w miejscowości Kadłub pod Strzelcami Opolskimi. Lokalni funkcjonariusze udali się na miejsce i po siłowym wejściu do zamkniętego od wewnątrz domu, potwierdzili najczarniejszy scenariusz, odkrywając zmasakrowane ciała dwóch osób.

Z ustaleń śledczych i dziennikarzy wynika, że nastolatek swoje działanie skrupulatnie udokumentował. Opublikował w internecie filmy, na których widać, jak przygotowuje się do ataku, ćwicząc ciosy siekierą w garażu.

Po dokonaniu zbrodni nagrał oświadczenie, w którym z przerażającym spokojem przedstawił się jako rodzinny morderca, próbując tłumaczyć, że zabijanie to naturalna część ludzkiego życia. Następnie rzucił się do ucieczki, która według wczorajszych zeznań przed prokuratorem, nie była wcześniej zaplanowana, a chłopak po prostu wykorzystał pierwszą nadarzającą się okazję do zniknięcia.

Bezpośrednio po odkryciu ciał uruchomiono obławę. W poszukiwaniach wykorzystywano drony oraz psy tropiące. Opolscy łowcy głów namierzyli zbiega po kilku godzinach.

Został on zatrzymany w czwartek kilkanaście minut po godzinie trzynastej w zaroślach nad rzeką Osobłogą na terenie powiatu krapkowickiego, niemal 45 kilometrów od miejsca zbrodni. Podczas przeczesywania terenu odnaleziono trzy narzędzia, w tym siekierę.

Kryminolodzy, tacy jak Paweł Moczydłowski, oceniając zachowanie nastolatka i jego chęć zdobycia internetowego rozgłosu, wskazują na możliwość występowania u niego głębokich zaburzeń osobowości i skrajnych deficytów emocjonalnych.


FOT. PAP/KRZYSZTOF ŚWIDERSKI

Nastolatek podczas przesłuchania w Prokuraturze Rejonowej przyznał się do winy

W piątek podczas przesłuchania w Prokuraturze Rejonowej w Strzelcach Opolskich przyznał się do winy. Wcześniej biegli przeprowadzili sekcję zwłok zamordowanych członków jego rodziny. Śledczy nie mają żadnych wątpliwości, że zbrodnia była wyjątkowo drastyczna, a zgromadzony materiał dowodowy i zeznania samego sprawcy doprowadziły do zaostrzenia pierwotnych zarzutów.

Początkowo prokuratura przedstawiła Łukaszowi G. zarzut zabójstwa w typie podstawowym. Podejrzany złożył jednak bardzo obszerne wyjaśnienia podczas przesłuchania, które trwało około trzech godzin. Złożone wyjaśnienia zaważyły o zaostrzeniu zarzutów.

W związku ze wstrząsającymi zeznaniami, a także ze wstępnymi wynikami sekcji zwłok obu ofiar, prokuratorPiotr Krzemionka-Kowalski podjął decyzję o zmianie kwalifikacji prawnej czynu. Łukaszowi G. ogłoszono zarzut popełnienia zbrodni zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem.

REKLAMA 0011478579



eprasa.pl 880adb6eec

Polska
Poniedziałek, 2.03.2026

Ruchu lotniczego nie można zatrzymać, dlatego w pracy Wojciecha Zawady nie ma pauzy. Decyzje podejmuje w sekundach, a odległości mierzy w milach i stopach. Gdy pasażerowie zapinają pasy i zamykają oczy, ktoś na wieży właśnie oblicza prędkość samolotu, drogę i czas. I podejmuje decyzje, od których zależą bezpieczny start i lądowanie

Jolanta Tęcza-Ćwierz

95 PROC. NUDY, 5 PROC. MAKSYMALNEJ KONCENTRACJI. KULISY PRACY KONTROLERA RUCHU LOTNICZEGO, KTÓRY PILNUJE NIEBA



FOT. ANNA KACZMARZ

W pracy Wojciecha Zawady nie ma pauzy

Ile samolotów może w danym momencie znajdować się w przestrzeni powietrznej w Polsce, w Europie, na świecie?
Aplikacja Flightradar24 pokazuje, że na świecie w ciągu doby śledzonych jest około 230 tysięcy samolotów. W Europie to około 20 tysięcy dziennie, a w polskiej przestrzeni powietrznej wczoraj obsłużyliśmy około dwóch tysięcy lotów. Przy czym dane dla Europy i Polski dotyczą tylko lotów komercyjnych. Najkrócej mówiąc: w chwili, kiedy rozmawiamy, w powietrzu jest około 50 samolotów, których miejscem startu lub celem jest Kraków.

Dlaczego, mimo tak dużej liczby samolotów w powietrzu, prawie nigdy nie dochodzi do kolizji?
Lotnictwo jest bardzo ściśle uregulowane i to jest klucz do bezpieczeństwa. Te regulacje, niestety, często „pisane były krwią". Historia wypadków lotniczych nauczyła nas, jak pracować lepiej, dlatego dziś latanie jest tak bezpieczne. Mamy rozwinięte systemy bezpieczeństwa i wymiany informacji. Globalnie jesteśmy skomunikowani w ramach różnych instytucji i organizacji, więc każde zdarzenie, czy to w Stanach Zjednoczonych, czy w Australii, jest szczegółowo analizowane, a wnioski trafiają do wszystkich. Dzięki temu możemy wprowadzać dodatkowe zabezpieczenia i bariery. Bardzo ważna jest też tzw. kultura bezpieczeństwa – nie karzemy za zgłaszanie błędów czy zagrożeń. Wręcz przeciwnie: zależy nam, by zgłoszeń było jak najwięcej. System raportowania i analizy działa tak, żeby wychwycić potencjalne problemy, zanim dojdzie do tragedii. Pracuje nad tym duży, profesjonalny zespół ludzi, i to pozwala nam stale podnosić poziom bezpieczeństwa.

Jakie odległości między samolotami muszą być zachowane w przestrzeni powietrznej?
To zależy od rodzaju przestrzeni powietrznej, sposobu pracy kontrolerów i dostępnych narzędzi. W uproszczeniu: w wyższych warstwach przestrzeni, mniej więcej od około 3 km nad ziemią w górę, gdzie ruch prowadzony jest w oparciu o zobrazowanie radarowe, standardowa separacja to 5 mil w poziomie (ok. 10 km) albo 1000 stóp w pionie (ok. 300 m). Podobnie jest na zbliżaniu. Może się wydawać, że 10 km to bardzo dużo, ale samoloty lecą z prędkością nawet 900-1000 km/h. Jeśli dwa lecą naprzeciw siebie, ich prędkości się sumują – względnie to prawie 2000 km/h. Wtedy te 10 km przestaje wyglądać na ogromny dystans. Im mniejsze prędkości, tym separacje mogą być mniejsze. Wieża kontroluje przestrzeń położoną najniżej – do około 2-3 tysięcy stóp (czyli mniej więcej do 1 km nad ziemią) w rejonie kilkudziesięciu kilometrów wokół lotniska. W końcowych i początkowych fazach lotu samoloty lecą wolniej, około 250–300 km/h, więc można stosować zmniejszone separacje, również wzrokowe. Na lotnisku obowiązuje zasada, że na jednym pasie startowym może odbywać się jednocześnie tylko jedna operacja startu albo lądowania. Lotnictwo jest specyficzne, bo jako jedyny środek transportu porusza się w trzech wymiarach. Oprócz kierunków prawo-lewo mamy jeszcze góra-dół. I jest jeszcze jedna różnica: samolotu nie da się zatrzymać w miejscu. Gdyby miał prędkość zero, po prostu by spadł. Dlatego ruchu lotniczego nie można zatrzymać, musimy podejmować decyzje bez przerwy, na każdym etapie.

A co, jeśli samolot nagle zniknie z radarów?
W Polsce mamy bardzo dobre pokrycie radarowe, więc to rzadkie sytuacje. Na wieży nie jest to duży problem, ponieważ kontrolę sprawujemy przede wszystkim w oparciu o wzrokową obserwację pola manewrowego i bezpośredniego sąsiedztwa lotniska. Ponadto, w naszej przestrzeni powietrznej, samoloty latają na niskich wysokościach i czasem po prostu wylatują poza zasięg radaru. Większe wyzwanie powoduje to dla kontrolerów zbliżania czy obszaru, bo dla nich zobrazowanie radarowe to podstawowe narzędzie pracy. Takie sytuacje mogą spowodować pojawienie się kilku siwych włosów, ale jesteśmy na nie przygotowani. Pamiętajmy, że cały czas utrzymujemy łączność radiową z załogą. W chwili gdyby samolot zniknął z radaru, pierwsza reakcja jest prosta: kontroler sięga po mikrofon i próbuje nawiązać kontakt. Czasem to tylko kwestia systemu, a z samolotem wszystko jest w porządku. Gorzej, kiedy nikt nam nie odpowiada po drugiej stronie słuchawki. To już dużo bardziej skomplikowana sytuacja. Proceduralnie jesteśmy na to przygotowani, ale psychicznie na takie momenty nigdy nie da się przygotować w pełni.

Miał pan taką sytuację?
Na szczęście nie. Najtrudniejsze doświadczenie, jakie miałem, to awaria silnika w jednym z samolotów, ale kontakt z załogą był wówczas zachowany. Wszystko działo się bardzo szybko, więc nie było nawet czasu, żeby nadmiernie się stresować. Lotnictwo jest bardzo bezpiecznym środkiem transportu i warto to podkreślać. Niesprawny samolot nie wystartuje: są mechanicy i technicy, którzy potrafią wstrzymać odlot nawet na „kilka minut" przed startem, jeśli coś budzi wątpliwości. Piloci również dbają o to, by lecieć sprawną maszyną. My, kontrolerzy, pilnujemy, żeby systemy, także zapasowe, działały bez zarzutu. To bardzo złożony organizm, ale dobrze funkcjonujący. Każdego dnia pracujemy nad tym, by latanie było bezpieczne.

Jakie sytuacje podnoszą ciśnienie kontrolerom ruchu lotniczego?
Takie sytuacje zdarzają się jedynie co jakiś czas. To nie tylko awarie, ale też zwykłe sytuacje ruchowe, kiedy okazuje się, że nasza decyzja nie była optymalna. A decyzje podejmujemy bez przerwy. Jeśli któraś nie jest najlepsza, trzeba ją natychmiast skorygować kolejną, a czasem jeszcze następną. Te momenty, kiedy trzeba szybko naprawić sytuację, są jednymi z trudniejszych w naszej pracy. Oczywiście są też zdarzenia anormalne i awaryjne. Sam miałem taki przypadek. To był jednosilnikowy samolot. Nagle okazało się, że doszło do awarii tego jedynego silnika. Samolot w jednej chwili „stał się" szybowcem i to tuż nad pasem. Trzeba było natychmiast zarządzić całą sytuacją ruchową. W takich momentach działa jednak cały nasz zespół. Procedury uruchamiane są od razu - asystent wdraża odpowiednie działania, senior wspiera, każdy wie, co ma robić. Wszystko potoczyło się tak, jak powinno. I dobrze się skończyło.

Które lotniska i jakie sytuacje są najtrudniejsze z punktu widzenia kontroli ruchu lotniczego?
Wpływa na to wiele czynników. Podstawą jest infrastruktura i wyposażenie: jaki mamy pas startowy, drogi kołowania, systemy na lotnisku. To fundament naszej pracy. Drugim czynnikiem jest liczba operacji.

eprasa.pl 880adb6eec

Wraz z jej wzrostem rośnie liczba potencjalnych konfliktów i to dynamicznie. Przy dwóch samolotach mamy jeden możliwy konflikt, przy sześciu czy ośmiu sytuacja komplikuje się dużo bardziej. W Krakowie sporym wyzwaniem jest zróżnicowanie ruchu. Pasażerowie widzą głównie duże samoloty rejsowe, ale mamy też małe lotnictwo, pilotów szkolących się w okolicznych ośrodkach. Do tego dochodzi obecność 8. Bazy Lotnictwa Transportowego w Balicach. Lotnictwo wojskowe działa według innych zasad niż rejsowe. To bardzo ciekawe, ale wymaga od nas sporej elastyczności. Na szczęście to również wyjątkowi profesjonaliści.

Jaki moment w pana karierze był największym wyzwaniem?
Ogromnym wyzwaniem było objęcie funkcji kierownika działu kontroli lotniska w Krakowie i być nim do dziś, szczególnie w sytuacjach kryzysowych. W ubiegłym roku mieliśmy poważne zdarzenie na lotnisku, a ja byłem wtedy za granicą. Z perspektywy kontrolera człowiek skupia się na samej sytuacji: pomagamy, uruchamiamy służbę alarmową, przekazujemy sprawę odpowiednim służbom i wracamy do pracy. Jako kierownik odpowiadam jednak za coś znacznie więcej – za koordynację całego procesu i przywrócenie normalnego funkcjonowania lotniska. Kiedy samolot wypadł z pasa, lotnisko było zamknięte przez kilkanaście godzin. Tymczasem część samolotów była już w powietrzu, inne w drodze, kolejne gotowe do startu. Trzeba było to wszystko poukładać, skoordynować wiele instytucji i komórek, które wspólnie tworzą ten skomplikowany organizm, jakim jest lotnictwo. Tego nie uczą nawet najlepsze szkolenia menedżerskie, nie ma prostego przepisu na sytuację, gdy samolot wypada z pasa. Na szczęście to nie jest praca jednej osoby. Za wszystkim stoi sztab ludzi, którzy wspólnie biorą za to odpowiedzialność.

Jaki jest największy stereotyp na temat pracy kontrolera ruchu lotniczego?
Bardzo często nasz zawód jest tak postrzegany, jakbyśmy każdą swoją decyzją niemal w ostatniej sekundzie ratowali statki powietrzne, a każde lądowanie czy start to wręcz kwestia szczęścia. Absolutnie nie. Jak wspomniałem, nasza praca to przede wszystkim procedury i powtarzalność. Wszystko jest uporządkowane, zaplanowane i odbywa się według ściśle określonych zasad. Powtarzalność buduje bezpieczeństwo.

Skąd więc potrzeba pokazywania waszej pracy w przerysowany sposób, jak w filmach „Szklana pułapka" albo „Czy leci z nami pilot?"?
W filmach wszystko jest podkręcone do granic możliwości. Sam często oglądam filmy o lotnictwie i bardzo je lubię. Myślę, że nawet jeśli tłumaczymy, jak bezpieczne jest latanie i jak wiele mamy procedur, to dla wielu osób wciąż jest w tym coś magicznego. Sam fakt, że tak ogromna i ciężka maszyna wznosi się w powietrze, budzi emocje. Do tego dochodzi aura tajemnicy i prestiżu wokół tego zawodu. To sprawia, że takie historie dobrze się ogląda, nawet jeśli z rzeczywistością mają niewiele wspólnego.

Jak wygląda dzień pracy kontrolera ruchu lotniczego?
Zwykło się mówić, że nasza praca to 95 proc. nudy i 5 proc. maksymalnej koncentracji. Praktycznie na każdym dyżurze trafia się choć jedna sytuacja atypowa. Zwłaszcza na krakowskim lotnisku, gdzie w ostatnim czasie ruch bardzo wzrósł – notując nawet 88 proc. operacji więcej dzień do dnia w porównaniu z przedpandemicznym rokiem 2019, co obecnie przekłada się na około trzysta operacji dziennie. To ogromny przeskok i zarządzanie ruchem o takim natężeniu naturalnie wiąże się ze stresem. Zwykły dzień zaczynam od odprawy. W specjalnym systemie mamy zebrane informacje potrzebne do przygotowania się do pełnienia służby. Zapoznajemy się z sytuacją w przestrzeni powietrznej, dostępnością urządzeń, planowanymi oblotami i lotami technicznymi. Sprawdzamy też prognozę pogody i warunki atmosferyczne. Pracujemy w systemie zmianowym: na stanowisku można siedzieć maksymalnie dwie godziny, potem obowiązkowa przerwa i powrót na kolejne dwie godziny. Na wieży w Krakowie są cztery stanowiska: kontroler tower, odpowiedzialny za przestrzeń powietrzną i drogę startową; kontroler ground, odpowiedzialny za ruch naziemny; asystent/delivery, który wydaje zezwolenia na lot i wspiera pozostałych kontrolerów; oraz senior kontroler, odpowiedzialny za całą zmianę. Przekazanie stanowiska odbywa się płynnie, pod bieżącym ruchem – samoloty przecież nie mogą się zatrzymać na ten czas. Chodzi o to, by przekazać wszystkie najważniejsze informacje krótko, konkretnie i zgodnie z procedurami – bo procedury to podstawa naszej pracy. Po przejęciu stanowiska zapewniam służbę kontroli ruchu lotniczego, a także służbę informacji powietrznej i alarmową.


FOT. ANNA KACZMARZ

Mamy rozwinięte systemy bezpieczeństwa i wymiany informacji. Globalnie jesteśmy skomunikowani w ramach różnych instytucji i organizacji

Ile trwa dyżur?
Siedem i pół godziny.

Jakie umiejętności są niezbędne, by bezpiecznie kierować ruchem w powietrzu?
Najważniejsza jest umiejętność szybkiego podejmowania decyzji. Bez tego nie da się pracować na tym stanowisku. Decyzja nie zawsze musi być idealna, ale musi zostać podjęta. W sytuacjach niestandardowych trzeba na bieżąco wymyślić rozwiązanie i zareagować. Jeśli nie będzie ono optymalne, za chwilę korygujemy je kolejną decyzją. W lotnictwie przyszłość liczy się w sekundach. To musi być najlepsza możliwa decyzja w danym momencie, a ewentualne konsekwencje rozwiązujemy później. Bardzo ważna jest też odporność na stres, ale tego można się nauczyć. Pomaga życie poza pracą, bliscy, pasje. Swoją pracę opieram mocno na matematyce, fizyce i analizie. Cały czas kalkuluję prędkość, drogę i czas. Muszę wiedzieć, gdzie samolot będzie za chwilę, ile przestrzeni potrzebuje i jak to się ma do innych maszyn. Czy zdąży wystartować? Czy mamy wystarczającą separację? Czy trzeba kogoś opóźnić? To wszystko to czysta matematyka.

Poczucie humoru też się przydaje?
Zdecydowanie tak. Choć mamy dość specyficzne poczucie humoru, ale to pewnie jeden ze sposobów radzenia sobie ze stresem.

Czy to prawda, że gdyby nie lot z Krakowa do Bukaresztu i jedna rozmowa w dziekanacie, dziś rozmawialibyśmy z prawnikiem, a nie z kontrolerem ruchu lotniczego?
Tak, rzeczywiście wszystko zaczęło się od mojego pierwszego lotu samolotem. Z tej podróży przywiozłem magazyn pokładowy Polskich Linii Lotniczych LOT „Kaleidoscope" i przez długi czas z ogromnym zainteresowaniem zgłębiałem flotę samolotową, analizując specyfikację poszczególnych maszyn. Nie planowałem jednak drogi zawodowej związanej z lotnictwem – miałem zostać prawnikiem. A decyzję o wyborze kierunku studiów w pewnym sensie podjęła za mnie… pani w dziekanacie. Kiedy poszedłem złożyć dokumenty na prawo, wspomniałem, że dostałem się też na inny kierunek, na który aplikowałem spontanicznie i w tajemnicy przed wszystkimi. Gdy pani usłyszała, że przyjęto mnie do Dęblina, bez wahania przesunęła dokumenty w moją stronę i powiedziała, żebym je zabrał i wykorzystał swoją szansę. Posłuchałem jej. Zabrałem dokumenty i w ten sposób nie zostałem prawnikiem.

Jak długo pracuje pan jako kontroler ruchu lotniczego?
Od lipca 2020 roku. Niedługo minie sześć lat. Wcześniej, przez rok pracowałem pod nadzorem instruktorów jako praktykant-kontroler ruchu lotniczego.

Odpowiedzialność za życie tysięcy pasażerów nie jest dla pana obciążająca?
Nie chcę upraszczać, mówiąc, że samoloty to tylko „kropki na radarze", ale w pewnym sensie to trochę tak wygląda, dla nas to operacja. Boeing 737 musi wykonać operację lądowania, a Airbus A320 właśnie wykonuje operację startu. W pracy mamy dostęp do wsparcia psychologicznego, szczególnie po trudnych zdarzeniach. W razie potrzeby nie zostajemy z tym sami. Bezpieczeństwo operacji jest naszym priorytetem.

Ile osób potrzeba, żeby jeden samolot wystartował i bezpiecznie doleciał na miejsce?
Omówmy to na przykładzie lotu z Krakowa do Gdańska. Na krakowskim lotnisku samolot będzie w kontakcie z co najmniej dwoma kontrolerami. Po starcie przejmują go kontrolerzy zbliżania – znów minimum dwie osoby. Następnie przelot przez dwa-trzy sektory obszaru i kolejne sześć osób, bo w każdym sektorze pracuje para kontrolerów. Przed lądowaniem znów zbliżanie – dwie osoby, i wreszcie wieża w Gdańsku – kolejne dwie. W sumie daje to minimum czternastu kontrolerów. Oczywiście liczba ta zależy od pory dnia, natężenia i złożoności ruchu. Warto dodać, że to kontrolerzy podejmują decyzje i wydają instrukcje. Poza sytuacjami awaryjnymi pilot nie może wykonać żadnego manewru bez naszej zgody. To my mówimy, kiedy ma zniżać, wznosić się, skręcać i o ile stopni. Ale za nami stoi też duże zaplecze operacyjne, cały sztab ludzi, którzy dbają o to, by system działał sprawnie.

Czy wiedza o tym, co dzieje się w powietrzu, może pomóc w pokonaniu lęku przed lataniem?
Mam nadzieję, że tak. Nasza praca jest bardzo usystematyzowana i uregulowana. Na większość sytuacji mamy procedury, jesteśmy stale szkoleni i monitorowani. Kompetencje są regularnie weryfikowane. To wszystko sprawia, że lotnictwo jest wyjątkowo bezpieczne. Warto też podkreślić, że zanim ktoś obejmie stanowisko kontrolera ruchu lotniczego, przechodzi bardzo złożony i wieloetapowy proces rekrutacji. Potem szkoli się w naszym ośrodku, a to nie koniec - regularnie przechodzimy szkolenia odświeżające, egzaminy, kontrole wiedzy i ocenę kompetencji. Cały czas jesteśmy sprawdzani i przygotowywani również na sytuacje awaryjne. Szkolenie w tym zawodzie trwa przez całą karierę. Jeśli chodzi o lęk przed lataniem, trzeba pamiętać, że statystycznie najbardziej ryzykowny moment podróży samolotem to… dojazd na lotnisko. Znacznie większe prawdopodobieństwo wypadku wiąże się z jazdą samochodem niż z samym lotem. Nie mówię tego z pychą, to nie jest tak, że „zrobiliśmy swoje i jest idealnie". Cały czas pracujemy nad tym, by poziom bezpieczeństwa był jak najwyższy.

Gdy wychodzi pan z pracy, nadal patrzy pan w niebo?
Oczywiście, nie mogę się powstrzymać. Kocham lotnictwo i kocham samoloty.

eprasa.pl 880adb6eec

Polska
Poniedziałek, 2.03.2026

ILE JEST MIODU W MIODZIE, TATARA W TATARZE, CZYLI POMYSŁODAWCA NA TROPIE

Kamil z Łodzi, autor profilu „Pomysłodawcy" na Facebooku, opowiada, jak demaskuje marketingowe chwyty producentów i sprzedawców artykułów spożywczych i co na to sami zainteresowani

Matylda Witkowska

Jak na twórcę internetowego jest pan bardzo tajemniczy… Nie pokazuje pan twarzy, nie zdradza nazwiska. Nawet teraz zamiast spotkania wybrał pan rozmowę przez telefon. Dlaczego pan ukrywa swoją tożsamość?
Powód jest banalny. Nigdy mi nie zależało, żeby być osobą publiczną i żyć na świeczniku. Cenię sobie prywatność i normalne życie. Niekoniecznie chcę iść do sklepu i robić sobie tam zdjęcia z milionem osób. Jestem ekstrawertykiem i gadułą, więc prozaiczne wyjście do sklepu stałoby się wyprawą na kilka godzin. Więc póki mogę, staram się prywatność zachować. Choć nie ukrywam, że staje się to coraz trudniejsze. Bo w sklepach, w których bywam regularnie, ekipa już wie, że ja to ja.

Jak się zorientowali?
Być może po bransoletce na ręce, bo to mój znak rozpoznawczy. A może zobaczyli, jak robię zdjęcie, albo rozpoznali na opublikowanym zdjęciu swój sklep, bo są osoby, które potrafią wychwycić takie detale z moich zdjęć… Jest mi coraz trudniej się ukryć, bo moje zasięgi są gigantyczne. A na pewno anonimowość ułatwia mi tworzenie treści – mogę się skoncentrować, zrobić zdjęcie, przyjrzeć się spokojnie składom, sprawdzić produkt czy przetestować jakąś usługę i mogę wciąż robić to jako zwykły konsument, a nie jako ktoś znany – gdzie na przykład byłoby ryzyko, że coś przygotowano lepiej dla mnie tylko z tego powodu.

To co pan może powiedzieć o sobie?
Jestem Łodzianinem, w tym roku kończę 40 lat. Od dawna jestem freelancerem, specjalistą w zakresie marketingu, szczególnie marketingu internetowego oraz social mediów. Mój profil „Pomysłodawcy" istnieje od 2012 roku.

Skąd wzięła się ta nazwa?
Facebook w Polsce łapał w tamtych czasach wiatr w żagle i ja też uruchomiłem profil o bardzo popularnej w tamtym okresie tematyce „zrób to sam". Publikowałem różne pomysły na to, jak zrobić coś z niczego, różne triki, lifehacki, czasem też o tematyce spożywczej, bo radziłem na przykład jak można zrobić coś w kuchni. To było trochę takie mydło i powidło. Prowadziłem profil, ale nigdy nie było to moje podstawowe zajęcie. Do tego po latach trochę się znudziłem, w międzyczasie były też zawirowania z algorytmem Facebooka i profil zaczął leżeć odłogiem. Natomiast w 2024 roku Mark Zuckerberg postanowił dać portalowi drugie życie. I stwierdziłem, że warto byłoby z moim profilem zrobić coś fajnego, coś innego niż wszyscy i przede wszystkim dobrego dla ludzi…

Czemu wybór padł akurat na recenzowanie produktów?
Zawsze byłem „upierdliwym klientem". Moja historia różnych działań prokonsumenckich jest bardzo długa. Na przykład – w zamierzchłych czasach zdarzyło mi się być jednym ze współautorów głośnej akcji konsumenckiej „We want live". Producent konsoli do gier oferował wtedy odpłatną opcję gry online z graczami z całego świata, ale opcja ta – mimo informacji o niej na pudełku – w Polsce nie była dostępna. Nasza akcja miała gigantyczny odzew, a po kilku miesiącach światowy koncern technologiczny poinformował, że opcja gry online zostanie wprowadzona też do Polski.

A dlaczego tym razem wziął pan na celownik artykuły spożywcze?
Stwierdziłem, że będę robił recenzje przy okazji codziennych zakupów, bo i tak zawsze wszystko sprawdzałem, więc pomyślałem, że czemu by się tą wiedzą, którą posiadam, nie zacząć dzielić? Widziałem też, że w Polsce rośnie w siłę trend świadomości konsumenckiej, m.in. w związku z rosnącą w internecie popularnością Książula, który najpierw recenzował kebaby, ale zaczął też wprowadzać recenzje restauracji czy domowego jedzenia. Od kilku lat zauważam, że coraz więcej konsumentów zwraca uwagę na to, czy produkt jest polski czy nie, czy ma odpowiednią jakość do ceny, powstają też aplikacje, które pozwalają skanować produkty na półkach, by sprawdzić pochodzenie lub skład.

Zaczął pan recenzować produkty i…
Pierwsze miesiące były takie sobie. Ale w pewnym momencie to wystrzeliło, bo zacząłem robić coś zupełnie innego niż wszyscy. Osób pokazujących w sieci, co nowego pojawiło się w sklepach i co jest w promocji, jest mnóstwo. Może ludzie tego szukają, ale moim zdaniem to płytkie. Dlatego ja zacząłem tworzyć recenzje nie tylko merytoryczne, ale również w sposób humorystyczny, z wyraźną nutą sarkazmu, czy na przykład w tonie opowiadania kryminalnego, wprowadziłem do nich postać tajnej agentki Grażynki, pojawiły się u mnie nawet recenzje o lekkim zabarwieniu erotycznym…



ŹRÓDŁO: FACEBOOK/POMYSŁODAWCY

Kamil z Łodzi zachowuje anonimowość. Można go poznać jedynie po charakterystycznej bransoletce

Sam pan to wszystko wymyśla czy pomaga sztuczna inteligencja?
Piszę sam, bo widać gdy coś jest pisane przez sztuczną inteligencję. Ona pisze tak sztampowo, że ktokolwiek pracuje z tekstami od razu to widzi. Korzystam z niej tylko wtedy, gdy potrzebuję sprawdzić przecinki. Przyznaję się do tego, bo w interpunkcji jestem kiepski… Za to lubię bawić się słowem, mogę gadać godzinami – szczególnie w tematach, które lubię, pracuję w branży kreatywnej więc pisanie w totalnie odjechany sposób przyszło mi naturalnie.

Jak wybiera pan produkty do recenzji? Dlaczego akurat ten ser, a nie inny?
Kupuję różne produkty, próbuję i jeśli coś mi smakuje i jest moim zdaniem warte polecenia, to po prostu o tym piszę. Nie mam szóstego zmysłu, który po samym opakowaniu mówi mi, co będzie dobre. Oczywiście widzę składy produktów, ale np. twaróg to twaróg i po opakowaniu trudno stwierdzić, jaki będzie w smaku.

Szuka pan raczej tych dobrych czy złych rzeczy?
Zwykle szukam czegoś dobrego. Ale ze względu na doświadczenie marketingowe wychwytuję też różne triki na etykietach produktów. Nie muszę ich nawet szukać, po prostu od razu zauważam. I jeśli widzę takie wątpliwe chwyty marketingowe, to zerkam na skład takiego produktu i sprawdzam.

Wątpliwe chwyty marketingowe, czyli jakie? Co powinno nas zastanowić?
Są tu bardzo proste zasady. Im bardziej produkt jest krzykliwy i „daje po oczach", tym większe jest prawdopodobieństwo, że ma kiepski skład. Im ostrzejsze barwy, im bardziej krzykliwa czcionka, im więcej jest sloganów i zapewnień o właściwościach zdrowotnych produktu – tym większa szansa, że w składzie jest coś nachachmęcone. Najmniej przetworzone produkty często pochodzą od najmniejszych producentów, którzy mentalnie utknęli w latach 90. i nie czują potrzeby odświeżania swojego designu. Dlatego nie zawsze brzydsze opakowanie oznacza, że produkt jest gorszy. Ale oczywiście nie jest to regułą – są też produkty jednocześnie piękne i dobre albo i brzydkie, i złe.

Skąd czerpie pan wiedzę merytoryczną?
Nie jestem z zawodu czy wykształcenia związany z żywnością. Jestem po prostu pasjonatem i przez lata czytałem składy produktów i analizowałem je. Jestem natomiast biegły w internecie, więc wiem gdzie znaleźć wiarygodne źródła i badania naukowe, a do tego potrafię czytać ze zrozumieniem i zapamiętać to, co przeczytałem. Czasem również „anonimowo" informacje udostępniają mi sami technolodzy żywności pracujący u producentów – po prostu mnie dokształcają.

Producenci nie mają do pana pretensji o krytyczne recenzje?
Tak naprawdę raz tylko zdarzył mi się mejl od producenta, który był wprawdzie grzeczny, ale też taki pasywno-agresywny. Szybko wymieniliśmy ze sobą mejle, wytłumaczyłem, że to jest moja twórczość i jeśli sarkazm komuś się nie podoba, to może mnie pozwać. Ale szybko zderzy się z lokomotywą internetu, która – gdy się rozpędzi w tzw. efekcie Streisand – będzie nie do zatrzymania.

Na czym polega efekt?
Został nazwany na cześć Barbary Streisand. Na początku ery internetu do sieci trafiło zdjęcie jej posiadłości. Artystka bardzo chciała je usunąć i w efekcie to zdjęcie stało się powszechnie dostępne w internecie, bo ludzie zaczęli masowo je udostępniać. Podobna sytuacje była też w Polsce, gdy na drogę prawną przeciwko recenzji tatara wystąpił jego producent i zrobiła się z tego gigantyczna awantura internetowa. Dziś producenci wiedzą, że działania przeciw twórcom internetowym mogą się im się odbić czkawką. Ale mam też świadomość prawną i wiem, jak należy pisać. Gdy coś krytykuję, zawsze podkreślam, że to jest moja opinia, a nie fakt i zawsze argumentuję, dlaczego tak sądzę.

Coś w działalności recenzenckiej szczególnie się panu udało?
Było wiele mniejszych lub większych „sukcesów". Na przykład po mojej „aferze miodowej", gdy skrytykowałem sieć supermarketów, że mają na półkach tzw. cenówki, które mogą potencjalnie wprowadzać klienta w błąd – zareagowali bardzo poważnie. Chodziło o produkt, który według dyrektywy unijnej nie był miodem, bo miał w składzie tylko 88 proc. miodu, a do tego fruktozę i dodatki, ale był opisany na cenówce jako miód. Okazało się, że sieć najpierw zmieniła opisy na cenówkach, a potem, gdy dalej drążyłem temat – dostałem informację, że wszystkie wątpliwe produkty tego typu są wycofywane z całej sieci.

Daje to panu satysfakcję?
Tak, bo zmieniam konsumencką rzeczywistość. Wiem, że chociażby moja babcia, idąc na zakupy do wcześniej wspomnianej sieci sklepów – nie kupi już „miodu", który tak naprawdę nie jest miodem.

To na koniec poproszę o radę: jak robić codzienne zakupy?
Nie robić ich w pośpiechu, nie robić „na głodniaka", bo głód nie jest dobrym kompanem do zakupów spożywczych. Ale przede wszystkim: czytajmy etykiety i to, co jest na nich napisane. Miejmy świadomość, że czasem bardzo niewielka różnica w cenie robi diametralną różnicę. Dlatego zawsze starajmy się wybrać najlepszy produkt z tych, które są dostępne dla naszego portfela.

eprasa.pl 880adb6eec

KILIMANDŻARO: TAM NAPRAWDĘ TRZEBA SŁUCHAĆ CIAŁA

Pięciu mężczyzn – ojciec i czterech synów. I sześćdziesiąte urodziny, które można było spędzić w hamaku nad oceanem, ale można było też stanąć na wysokości 5895 metrów

Sylwia Rycharska

Wylecieli w sobotę, 24 stycznia, z Warszawy. Kilkanaście godzin później byli już w Tanzanii, w Moshi, u podnóża Kilimandżaro - najwyższej góry Afryki. Plan był prosty: wejść mądrze i zejść bezpiecznie.

- Dałem radę. Nikt z nas nie miał poważnej choroby wysokościowej - mówi prof. Marek Karczewski, chirurg transplantolog z Poznania. - I to było dla mnie ważniejsze niż samo zdjęcie na szczycie.

Bo to nie miała być wyprawa „za wszelką cenę". - Widziałem ludzi wprowadzanych pod ręce. I tak bym nie chciał. Jeśli ktoś miałby mnie ciągnąć tylko po to, żeby odhaczyć szczyt, to nie o to chodzi.

Sześćdziesiąt lat – sześć tysięcy metrów

Pomysł dojrzewał. Profesor od lat stawia na aktywne spędzanie czasu. - Zawsze staram się urodziny spędzać aktywnie. Sześćdziesiąt lat, prawie sześć tysięcy metrów. Jakoś mi się to zgrało.

Nie był to dla niego pierwszy kontakt z górami, ale pierwszy na takiej wysokości. Wcześniej były trekkingi w polskich i słowackich Tatrach, Karkonoszach, Bieszczadach, na Islandii, Lofotach, Macedonii, wokół Torres Del Paine i Fitz Roy w Patagonii czy Maderze. Długie marsze, wymagające trasy, ale bez ekstremalnych wysokości. - Kilimandżaro jest osiągalne. Technicznie to nie jest trudna góra. Tam się po prostu idzie. Nie potrzeba specjalistycznego sprzętu, jak liny czy raki. Kluczowa jest aklimatyzacja i rozsądek.

I - jak zaznacza - problemem jest wysokość. - Nikt z nas nie wie, jak zareaguje organizm. To jest loteria.

Przewodnicy opowiadali im o swoich doświadczeniach. - Najmłodszy turysta, jakiego prowadzili, miał siedem lat i pochodził z Azji. Najstarszy - 89 lat, z Kalifornii.

Przygotowania bez improwizacji

Aby sprostać takiemu wyzwaniu, trzeba było się odpowiednio przygotować - ale nie kilka dni wcześniej. Profesor nie zmieniał radykalnie trybu życia - pozostał przy systematyczności i konsekwencji. - O kondycję dbam codziennie. Uważam, że regularny ruch to podstawa. Nie można wstać z kanapy i wejść na taką wysokość.

Przed wyjazdem dołożył jedynie treningi na siłowni - wzmacniające nogi i plecy - oraz ćwiczenia wytrzymałościowe.

Męska wyprawa

Na wyprawę pojechał z czterema synami: Ignacym, Maurycym, Tycjanem i Horacym. Najstarszy, Ignacy ma 33 lata i żeby wziąć udział w wyprawie pozostawił w Polsce żonę z dwójką dzieci . Dwóch kolejnych, Kajetan i Ksawery nie mogło dołączyć - jeden z powodu kontuzji kolana, drugi ze względu na obowiązki zawodowe.

Syn Kajetan - ten od kontuzji - jest artystą i tatuażystą. Jeszcze przed wyjazdem umówili się, że jeśli ojciec stanie na Uhuru Peak, z Afryki będzie mieć nie tylko zdjęcie, ale i trwałą pamiątkę. Słowa dotrzymali. Kilka dni po powrocie, w jego pracowni, na lewym ramieniu profesora pojawił się zarys góry Kilimandżaro. Prosta linia masywu, bez daty i bez dodatkowych symboli.

- To miała być męska wyprawa. Tydzień razem. Ja się cieszę, że oni w ogóle chcieli pojechać z ojcem.

Dla niego to było równie ważne jak sam szczyt.

W drodze szybko nakreślili proste zasady: razem przy stole, razem w namiocie, razem na szlaku. Bez rozproszeń, bez codziennych spraw. Każdy miał moment słabości, każdy miał lepszy dzień. - To nie jest tak, że ojciec prowadził. Szliśmy swoim tempem. Czasem któryś z chłopaków przyspieszał, czasem ktoś zostawał z tyłu. Najważniejsze było, że byliśmy obok siebie - mówi prof. Karczewski.

Na wysokości rozmowy są krótsze. Brakuje tchu, więc zostają pojedyncze słowa, spojrzenia, gesty. Ale właśnie tam, jak przyznaje, poczuł, że to był dobry pomysł na sześćdziesiąte urodziny. - W normalnym życiu każdy ma swoje sprawy. Tutaj przez tydzień byliśmy tylko my i droga.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE M. KARCZEWSKIEGO

Prof. Marek Karczewski zdobył Uhuru Peak wraz z czterema synami: Ignacym, Maurycym, Tycjanem i Horacym. Dwóch kolejnych, Kajetan i Ksawery, nie mogło dołączyć do wyprawy

Grupa turystyczna liczyła pięć osób, ale w praktyce na szlaku było ich znacznie więcej. - Na jednego turystę przypada mniej więcej trzech ludzi z obsługi. Tak to reguluje administracja tamtejszego parku narodowego, która określa również limit wagi bagażu - nikt nie może nieść więcej niż dziesięć kilogramów.

W skład zespołu wchodzili przewodnicy, kucharz i porterzy. Codziennie kontrolowano saturację, rozmawiano o samopoczuciu, analizowano plan dnia. - Czuliśmy się naprawdę zaopiekowani. Byłem pozytywnie zaskoczony poziomem profesjonalizmu - mówi profesor.

Każdy dzień wyglądał podobnie. Pobudka wcześnie rano, szybkie śniadanie i pakowanie rzeczy, które przez noc zdążyły pokryć się wilgocią lub szronem. Około ósmej wyruszali na szlak. Szli kilka godzin, w spokojnym tempie wyznaczanym przez przewodnika. Po drodze krótki postój na herbatę, czasem zupę. Do kolejnego obozu docierali wczesnym popołudniem. Tam ciepły posiłek, chwila odpoczynku i znów kontrola parametrów. Wieczorem szybka kolacja i do namiotów. - Na tej wysokości nie siedzi się długo. Organizm chce spać - mówi profesor. Z dnia na dzień krajobraz się zmieniał, ale rytm pozostawał ten sam.

Droga przez cztery światy

Wybrali trasę Machame - siedmiodniową, dłuższą, ale dającą większą szansę na aklimatyzację.

Wędrówkę rozpoczęli przy Machame Gate (1790 m n.p.m.) w lesie deszczowym. Wilgoć, gęstwina, małpy - gerezy przeskakujące między drzewami. Potem wrzosowiska, surowy krajobraz, coraz mniej roślinności. Dalej - pustynia: kamień, pył i cisza.

Pierwszego dnia pokonali ponad 10 km do Machame Camp (3010 m). Następnie dotarli na płaskowyż Shira (3845 m).

Jednym z kluczowych punktów była Lava Tower (4630 m). - To był ważny moment. Sprawdzian dla organizmu i istotny etap aklimatyzacji. Już wtedy mogą pojawić się objawy - ból głowy, zmęczenie, problemy z oddychaniem i żołądkowo-jelitowe - wymienia prof. Karczewski. - Po Lava Tower przewodnicy ocenili, że nasze szanse wejścia na szczyt wzrosły do 90 procent. To było bardzo pocieszające - dodaje z uśmiechem.

Nocowali w Barranco Camp (3960 m), położonym nieco niżej. - Jest zasada: wchodzisz wyżej, śpisz niżej. To pomaga organizmowi się zaadaptować.

Nad nimi masyw Kibo z Uhuru Peak - najwyższy punkt Afryki. Obok surowe Mawenzi. Na dole plus 30 stopni, na górze minus 20. W kilka dni przechodzi się przez cztery strefy klimatyczne.

Statystycznie na Kilimandżaro wchodzi rocznie od 30 do 50 tysięcy osób, a ginie od 3 do 10 (ok. 0,03 proc.).

Objawy ostrej choroby wysokościowej to bóle głowy, nudności, wymioty, zaburzenia koordynacji. W ciężkich przypadkach może dojść do obrzęku mózgu lub płuc.

Jako lekarz wiedział, na co zwracać uwagę. Ból głowy na tej wysokości nie jest „zwykłym bólem głowy". Problemy z koordynacją, splątanie, nasilające się osłabienie - to sygnały alarmowe. - Najgroźniejsze jest ignorowanie objawów. Ambicja w górach bywa złym doradcą - mówi. Dlatego codzienna kontrola saturacji i rozmowa o samopoczuciu nie były formalnością.

Szóstego dnia dotarli do Barafu Camp (4640 m). O północy rozpoczęli atak szczytowy. - Siedem godzin człapania w ciemności.

Idzie się powoli, niemal w rytmie oddechu. Przed sobą widać tylko światło czołówki poprzedzającej osoby. Twarde, zmrożone głazy i pył wulkaniczny pod stopami, cisza przerywana krótkimi komendami przewodnika. Temperatura spada, organizm pracuje inaczej niż na dole. Każdy krok jest świadomy. - Nie myśli się o wielkich rzeczach. Myśli się o następnym kroku - mówi.

W takich warunkach łatwo o zwątpienie. Ale - jak podkreśla - nikt nie mówił o rezygnacji.

Po całonocnym marszu przez zimno i lód dotarli do Stella Point (5735 m). - To jest krytyczny moment. I niewyobrażalnie zimno.

Właśnie w rejonie Stella Point w 2021 roku zmarł polski podróżnik Aleksander Doba. - Tam naprawdę trzeba słuchać swojego ciała. Dla mnie najgorsze było zimno w dłonie - dwie pary rękawiczek było za mało.

Ze Stella Point do Uhuru Peak zostaje około 45 minut marszu. - Kiedy wychodzi słońce, wiesz, że dojdziesz.

O wschodzie słońca stanęli na Uhuru Peak (5895 m). Spędzili tam około dwudziestu minut. - Poczułem ulgę. Zrealizowaliśmy plan. Razem weszliśmy. Wszyscy zdali egzamin.

Zejście okazało się bardziej męczące, niż można było przypuszczać. - W dzień pył wulkaniczny robi się sypki jak piasek. Schodzisz jak po wydmach. Kolana dostają.

Łącznie pokonali około 64 kilometry i ponad pięć tysięcy metrów przewyższeń.

Powrót do codzienności

Lot powrotny się opóźnił. Wieczorem Warszawa, nocą Poznań. Następnego dnia - powrót do pracy w szpitalu i cały dzień na bloku operacyjnym. - Po pierwszym dniu w pracy czułem się, jakbym nigdzie nie wyjeżdżał.

Co dalej? - pytam.

- Rozmawialiśmy już z synami. Padały nazwy: Kazbek, Mount Blanc, Jebel Toubkal. Ale to nie są wielkie deklaracje. W najbliższym czasie jedziemy z żoną na trekking na Azory.

Po powrocie utwierdził się w przekonaniu, że warto być w ruchu. - Dużo jeżdżę na rowerze, nawet w mroźne dni. Ruch jest ważny, tak jak nawyki żywieniowe. Nie palę i nie piję alkoholu od kilku lat. I dodaje: - Najbardziej reklamowałbym zdrowy tryb życia połączony z aktywnością rodzinną. Cieszę się, że synowie, chociaż dawno dorośli, chcieli spędzić czas z ojcem.

Na biurko wróciły dokumenty pacjentów. Zostało wspomnienie wschodu słońca nad Kibo.

eprasa.pl 880adb6eec

Polska
Poniedziałek, 2.03.2026

SŁOŃ Z ZOO TEŻ ZATRUŁ SIĘ OŁOWIEM

Mieszkałem niedaleko miejsca, w którym rozgrywa się akcja serialu „Ołowiane dzieci". Pamiętam, jak na przełomie lat 60. i 70. co miesiąc chodziłem na pobrania krwi. Oficjalnie mówiono, że to próby wątrobowe - mówi dr hab. Mirosław Nakonieczny

Magdalena Nowacka-Goik

We wrześniu 1971 roku, na łamach „Dziennika Zachodniego" pojawiła się taka informacja: „Katowicka Lecznica dla Zwierząt odnotowuje u psów sporą ilość zatruć ołowiem - głównie z terenu Szopienic". To trzy lata wcześniej przed sytuacją opisywaną w serialu „Ołowiane dzieci", gdzie lekarka Jolanta Wadowska-Król prowadzi badania związane z ołowicą.

Pamiętam jak w latach 70., kiedy byłem uczniem, usłyszałem lub gdzieś przeczytałem o słoniu z naszego chorzowskiego zoo, który stracił życie, bo miał ołowicę. Sekcja wykazała, że ołów zniszczył mu nerki. Trafił do organizmu zwierzęcia z trawą, koszoną w parku, dawaną mu jako pożywienie. Od tego momentu pilnowano, aby zwierzęta były karmione trawą spoza naszego regionu. Zapamiętałem tę historię, bo już wtedy interesowałem się przyrodą.



FOT. ARC. PRYWATNE

Dr hab. Mirosław Nakonieczny, emerytowany profesor Uniwersytetu Śląskiego, specjalista w dziedzinie toksykologii

Od razu wprost napisano, co było przyczyną śmierci słonia?

Nie, dopiero później, już jako student, na bazie rozmów i innych opracowań powiązałem fakty. Sytuacja była jednak na tyle niecodzienna, iż nie miałem wątpliwości, że chodziło o tego samego słonia, o którym czytałem jako dziecko.

W serialu „Ołowiane dzieci" jest scena, kiedy doktor Jolanta Wadowska-Król opuszcza przychodnię i niesie ze sobą doniczkę ze zwiędłą rośliną. Czy ołów niszczył tak bardzo florę? Rosło tam coś w ogóle przy tej hucie? Bo słyszałam, że nic tam nie było w stanie przetrwać, w tej ziemi z ołowiem.

Tak źle nie było. Rosły drzewa, trawa. Tylko na pewno były to wyselekcjonowane przez metale gatunki. Kiedy byłem studentem, pojechaliśmy na ćwiczenia terenowe w okolice Miasteczka Śląskiego, do otuliny zakładów, gdzie przeniesiono produkcję ołowiu. Notabene, czytałem też, że towarzysz Zdzisław Grudzień przywoził dla swojego dziecka mleko z tamtych okolic, co nie było najlepszym pomysłem. Podczas wspomnianych ćwiczeń, profesor Zbigniew Schneider, wybitny entomolog, zwracał nam uwagę, że w zasadzie jedynym gatunkiem roślin, który tam się miał bardzo dobrze, była trawa z rodzaju trzcinnik. Inne rośliny faktycznie usychały w tej bezpośredniej strefie położonej przy produkcji ołowiu.

No ale co z tą rośliną pokazaną w serialu? Ona rosła w doniczce na parapecie.

Wracając do fragmentu z serialu, na którym widzimy hoję (ten gatunek w tamtych czasach nie był szczególnie popularny), aby faktycznie uschła z powodu ołowiu, trzeba byłoby podlewać ją tylko wodą z kałuż, zbieraną w tej okolicy. Chyba nikt nie przypuszcza, że tak faktycznie robiono. Ten kadr ma zapewne podkreślić dramaturgię i przekonanie, iż nawet roślinność nie była w stanie tam przetrwać. Owszem, była - ale tak, jak powiedziałem wcześniej - wyselekcjonowane, odporne na tego typu zanieczyszczenia gatunki. Czynnikiem silnie wpływającym na rozwój, a później na obumieranie roślin na terenach przyhutniczych było wysokie stężenie dwutlenku siarki i tlenków azotu. Szczególnie ten pierwszy był w powietrzu w dużych ilościach, z powodu produkcji kwasu siarkowego niezbędnego do procesów elektrolizy metali. Gazy te bezpośrednio uszkadzały rośliny dostając się do nich przez aparaty szparkowe. W atmosferze natomiast łączyły się z wodą, dając kwaśne deszcze, które zakwaszały glebę. A kwaśna gleba powodowała, że zawarte w niej metale stawały się dla roślin bardziej biodostępne. Stąd też wokół huty rosły tylko bardziej odporne trawy (w tym trzcinnik), a stojąca na parapecie hoja być może była bardziej wrażliwa na nie, niż inne gatunki. Tego nie wiem. Stojący obok kaktus epifilum miał się całkiem dobrze i był w tamtych czasach często hodowany.

To jeśli chodzi o florę, a wspomniane psy czy koty żyjące w tej okolicy blisko huty, faktycznie chorowały?

Tak, zwierzęta domowe mogły doświadczać ołowicy. Przyczyną, tak samo zresztą jak w przypadku dzieci, był bezpośredni kontakt ze skażoną glebą, powietrzem i wszechobecnym pyłem. Biegające przez cały dzień po podwórku dzieciaki nie myły rąk, w trakcie zabawy dotykały twarzy, palce wkładały do ust i połykały ołów.

W serialu widzimy też wyraźnie sceny, w których toksyczne odpady wirują w powietrzu niczym płatki śniegu. Tak było, tak mogło być? Ołów w powietrzu opadający na ludzi, zwierzęta, domy?

Nie, ten opad nie był widoczny. Ale to artystyczny zabieg często stosowany w filmach o takiej tematyce. Podobnie było np. w paradokumencie fabularnym o Czarnobylu. Chociaż tam jeszcze taki opad mógł w jakimś stopniu być widoczny, to jednak pokazanie promieniowania radioaktywnego jest już czystą fantazją. Natomiast prawdą jest, że parapety czy okna w Szopienicach były brudne od sadzy. Unoszące się jednak w powietrzu pyły zawierające ołów, widoczne gołym okiem jak gęste płatki śniegu - nie.

Lekarka zabrania dzieciom korzystać z odkrytego basenu, właśnie z powodu zagrożenia kontaktu z ołowiem. Rzeczywiście miało to takie przełożenie?

W tym przypadku wszystko zależy od częstotliwości wymiany wody w basenie. Wtedy raczej wodę tylko chlorowano i basen odkryty przez całe lato stawał się naturalnym rezerwuarem. Trafiały do niego wody opadowe, które oczyszczały powietrze, ale skażały wodę i glebę.

W jakiej postaci ołów jest najbardziej trujący? Czy kiedy wnika do naszego organizmu drogą pokarmową, czy kiedy wdychamy toksyczne opary z powietrza?

W toksykologii duże znaczenie mają dwa aspekty: dawka i czas ekspozycji na czynnik toksyczny. Same dawki ołowiu w takim stopniu, w jakim trafiały do organizmu dzieci, jednorazowe, nie były śmiertelne. Można nawet zaryzykować, że jednorazowo nie były wysoce szkodliwe. Ale czas ekspozycji był ciągły, dzisiaj byśmy powiedzieli 24 h/7 i to było przyczyną, że trwale zatruwały ich organizmy.

Duże wrażenie robią jednak objawy choroby, pokazane w serialu. Czy były tak ciężkie?

Pokazane sceny krwawienia z ust, odkrztuszania krwi, nie należą do typowych objawów ołowicy, a bardziej kojarzą się z gruźlicą - i owszem - dzieci chore na ołowicę, mogły być też bardziej podatne na tę chorobę, częściej na nią zapadać. Natomiast to nie jest objaw ołowicy. Tu przeważały objawy neurologiczne.

A czarne dziąsła? Też podkoloryzowane (nomen omen)?

To akurat faktyczny objaw, w przypadku silnego zatrucia ołowiem. Podkreślę raz jeszcze, że liczył się jednak przede wszystkim czas ekspozycji.

eprasa.pl 880adb6eec

I to on miał tu największy wpływ na tak wysoką szkodliwość, bo dzieci były już narażone na metale od okresu prenatalnego.

Kolejna scena: widzimy lekarkę, która zatrzymuje się na cmentarzu przy parafii, gdzie widzi rzędy białych krzyży. Na tabliczkach roczniki bardzo młode i zgony praktycznie w tym samym czasie. Ołowica chociaż prowadziła do głębokiego wyniszczenia organizmu, wielu narządów, nie była – bezpośrednio – przyczyną śmierci.
Być może zabrzmi paradoksalnie, ale tak - nie była. I nie odnotowano w tamtym czasie zwiększonej liczby zgonów wśród dzieci z tego terenu. Wszystkie dzieci z Burowca, a dokładnie z Kolonii Paweł, podlegały pod konkretną parafię szopienicką z cmentarzem w Szopienicach na tzw. Górce.

Zatem w księgach parafialnych byłyby odnotowane zwiększone liczby zgonów wśród najmłodszych mieszkańców w tym okresie?
Na tym cmentarzu jest oczywiście kwartał poświęcony dzieciom, ale nie zauważyłem znaczącego wzrostu nagrobków w okresie, o którym mowa jest w serialu. A znam też ten cmentarz, bo pochowani są tam moi rodzice. Księgi parafialne sprawdziła też pod tym kątem profesor Lucyna Sadzikowska. Ołowica doprowadzała natomiast bezdyskusyjnie do upośledzenia fizycznego i psychicznego. Na tyle poważnego, że te dzieci, kiedy dorosły, stawały się osobami z trwałymi niepełnosprawnościami, niezdolnymi do pracy i oczywiście z krótszą oczekiwaną długością życia, niekiedy o 20 i więcej lat.

O tym, że przyczyną jest zatrucie ołowiem, głośno nie mówiono. To była taka wiedza „szeptana”.
Sam miałem w dalszej rodzinie osobę, która stała się ofiarą ołowicy. Dla mnie jako dziecka, to był wujek, który pracował właśnie przy produkcji ołowiu. W pewnym momencie zaczął mieć problem ze wzrokiem i słuchem, kłopoty z nerkami. Ostatecznie nie został zdiagnozowany pod tym kątem, ale nieoficjalnie wiedziano, że wpływ miała praca przy ołowiu. Wśród krewnych mówiono o tym wprost. Faktem jest, że nie przekazywano tego oficjalnie. Ale fakty te powiązałem dopiero wtedy, gdy na uczelni zacząłem wykładać toksykologię.

Są jeszcze jakieś inne przesłanki, które mogły wskazywać na to, że świadomość, iż „coś” truje dzieci w tym czasie na Śląsku, była większa, niż można przypuszczać?
Mieszkałem niedaleko miejsca, w którym rozgrywa się akcja serialu „Ołowiane dzieci”. W linii prostej to były niecałe dwa kilometry od osiedla i huty. Pamiętam, jak na przełomie lat 60. i 70. co miesiąc chodziłem na pobrania krwi. Oficjalnie mówiono, że to próby wątrobowe. Bardzo dużo tej krwi mi pobierano, raz nawet zemdlałem. Być może wykorzystywano ją także do innych badań, związanych z poziomem zanieczyszczenia metalami. Dorośli by pewnie wiedzieli, niestety, nie udało mi się zapytać o to mamy. Babcia w połowie lat 60. koniecznie chciała mnie wysłać do sanatorium, chodziła ze mną po wielu lekarzach, ostatecznie jednak nie pojechałem. Nie zakwalifikowałem się. W szkole w pewnym momencie pojawiło się mleko. To wszystko mogło mieć związek ze świadomością, iż huta, zakłady metali, miały negatywny wpływ na zdrowie dzieci. I działania ochronne były prowadzone. Tylko nie mówiono jeszcze wprost o tym, czym nas te zakłady trują.

Wróćmy do kwestii czasu kontaktu z ołowiem, bo wspomniał pan, że ma tu największe znaczenie.
Tak, jak zaznaczyłem wcześniej, do zatrucia ołowiem dochodzi głównie drogą pokarmową. I tu od razu zaznaczę, że ołów jest z przewodu pokarmowego trudno wchłanialny. W zasadzie można tu mówić o wartościach rzędu dziesięciu procent – reszta jest wydalana z organizmu w kale. A to, co jest wchłonięte, w około 50% wydzielane jest z moczem i żółcią. Gorzej, że wchłonięta część osadza się w kościach - ołów jest mało mobilny i trzeba 30-40 lat, aby wycofać go z kości. Natomiast kluczowa jest tu ciągła, wieloletnia ekspozycja, czyli kontakt z toksyną. I tu mamy sporo przykładów dotyczących różnych toksycznych substancji. Na przykład w Wielkiej Brytanii budynki po zakładach produkcji żarówek, gdzie używano rtęci, przerabiano na mieszkalne. Po pewnym czasie okazało się, że mieszkańcy zaczynają chorować, mieli podobne, choć nieswoiste objawy. Okazało się, że przyczyną były ogromne ilości rtęci, którymi wysycone były mury. Nikt wcześniej tego nie zbadał.

No to jak słynny azbest, przez lata używany do ocieplania osiedli, także w naszym regionie. Też nagle odkryto, że nas mógł truć.
Azbest wietrzeje. Dlatego im starszy, tym mocniej zatruwa. Jego struktura ma taką formę, że przenika do naszego układu oddechowego. Pył ma postać igiełek, które „wbijają się” w pęcherzyki płucne. Generalnie, toksyczne pyły mają różną średnicę. I to od niej zależy, jak głęboko pył dotrze. Jeśli dojdzie już do płuc, to do układu krwionośnego dostaje się z tego narządu w około 50 procentach. To naprawdę dużo. Tylko że stężenie w powietrzu jest zazwyczaj niższe, niż to skumulowane w glebie czy wodach opadowych.

Wracając do „Ołowianych dzieci”, maluchy były narażone bardziej na skażenie drogą pokarmową niż z powietrza, po pierwsze, ze względu na stężenie, a po drugie, bo ten ich kontakt z tym źródłem był bezpośredni.
Pamiętam z dzieciństwa, że rodzice notorycznie zwracali nam uwagę na mycie rąk przed posiłkiem. I tam, gdzie były dobre warunki higieniczne, bieżąca woda i rygorystyczne pilnowanie dzieciaków, tam też ta liczba zatruć była mniejsza. Przykładem może być osiedle hutnicze w Szopienicach przy ul. Wiosny Ludów. Tam nie było tego problemu. W mojej klasie w szkole podstawowej nikt nie miał objawowej ołowicy. Gorzej w familokach w bezpośredniej bliskości huty. I tu serial dobrze pokazuje efekty zatrucia środowiska, które było realnym problemem.

Mówimy ciągle o ołowiu, tymczasem cynk i kadm też truły.
Ołów, cynk i kadm, to w toksykologii taka słynna triada, nie tylko dlatego, że występują razem. Jest znana pewna zależność. Żeby wywołać ten sam efekt toksyczny, potrzebujemy: 100 jednostek cynku, 10 jednostek ołowiu, albo 1 jednostkę kadmu. Przy okazji warto zwrócić uwagę, że charakterystyczny kaczy czy bociani chód, o którym też mowa w serialu, był akurat objawem zatrucia kadmem. W przypadku ołowiu bardziej charakterystyczny jest tzw. efekt opadającej ręki – przestają funkcjonować mięśnie prostowniki. Jest problem z utrzymaniem zgiętej kończyny górnej. Ponadto upośledzenie słuchu, mała masa ciała, niski wzrost. Ołów powoduje też, że zostaje zaburzony szlak syntezy hemoglobiny, konkretnie hemu, cząsteczki, która łączy się z tlenem.

OŁÓW JEST MAŁO MOBILNY I TRZEBA 30-40 LAT, ABY WYCOFAĆ GO Z KOŚCI. NATOMIAST KLUCZOWA JEST TU CIĄGŁA, WIELOLETNIA EKSPOZYCJA

Stąd anemia u dzieci z ołowicą.
Dokładnie.

Jak w tej chwili możemy ocenić stan gleby, w miejscu gdzie stały familoki, w których mieszkali pracownicy huty?
Niestety, ołów nadal tam jest i to w dużej ilości. Przykrycie terenu grubą warstwą gleby przywiezionej spoza Śląska było więc dobrym rozwiązaniem.

A gdybyśmy zjedli jabłko z posadzonej tam jabłonki? Zaszkodzi, bo z ołowiem?
Jeśli porządnie je umyjemy, ołowiu tam dużo nie będzie. Gorzej w przypadku warzyw korzeniowych typu marchewki czy rzodkiewki – tam będzie go sporo, bo kumuluje się w korzeniach. Natomiast kadm i cynk łatwo migrują do liści, a także owoców. Są rośliny, które szczególnie absorbują metale. Takim przykładem jest np. rozchodnik wielki. Mój były szef, profesor Paweł Migula hodował tę roślinę na balkonie w Wełnowcu. To roślina żywicielska dla motyla niepylaka apollo żyjącego w Pieninach, na którym robiliśmy badania naukowe. Jednocześnie jest ona hiperakumulatorem metali, m.in. kadmu. Jeszcze wtedy, w latach 90. stężenie kadmu dochodziło w balkonowej hodowli do 100 mikrogramów na gram suchej masy liści. To bardzo dużo mając na uwadze, że w Pieninach w tym czasie były tylko 4 mikrogramy.

Kiedy słyszymy o metalach w kontekście zdrowia, od razu jesteśmy przerażeni wizją jak w serialu – poważnych konsekwencji zdrowotnych.
To zrozumiałe, ale warto też wiedzieć, iż ewolucja doprowadziła do tego, że np. potrzebujemy pewnego zapasu cynku i miedzi, które są naturalnymi mikroelementami w naszej diecie i pełnią ważne funkcje w organizmie. Mamy w organizmie białka, które wiążą te metale i w takiej formie nie są one toksyczne. Jeśli podaż cynku wzrośnie, dojdzie do indukowanej syntezy tych białek i do pewnego poziomu jesteśmy bezpieczni. Natomiast w przypadku ołowiu jest gorzej, bo nie wywołuje takiej indukcji. Z drugiej strony są metale o wiele bardziej toksyczne od ołowiu, choćby wspomniany kadm czy rtęć.

Na tę chwilę, co nas najbardziej truje na Śląsku?
W porównaniu z latami 70. i 80. jest o dziwo, czyściej.

...?!
Posłużę się przykładem. Dla mnie takim wskaźnikiem, że jest czyściej, było to, jak około roku 2000 pojawił się w naszej aglomeracji i to w dużej liczbie, chrząszcz guniak czerwczyk, kuzyn chrabąszcza majowego. To był znak, że jego larwy były w stanie przeżyć na korzeniach rosnących tu roślin. Wprawdzie teraz nie ma go w takiej ilości, ale ma to związek z gatunkami, które się nim żywią. Także na moim osiedlu 1000-lecia w Katowicach, od kilkunastu lat można zaobserwować jak lata piękny, błękitnie opalizujący motyl mieniak strużnik. Jego gąsienica żyje na liściach topól, które jeszcze w latach 80. skażone były metalami z osiadających pyłów i były dla niego silnie toksyczne. Obecnie wiele się mówi o mikroplastiku i to faktycznie jest realnym zagrożeniem, podobnie jak nadmiar używanych antybiotyków czy pestycydów. Natomiast znowu wszystko zależy od stężenia i czasu ekspozycji. Jeśli przez całe życie będziemy pili w bardzo dużej ilości z plastikowych butelek, to na pewno nie będzie to zdrowe. Ale jeśli nie jest to w ogromnym natężeniu, nie dajmy się zwariować. Większym problemem może być mikroplastik z naszych syntetycznych ubrań, które po każdym praniu są „lżejsze”.

Mówiąc o zatruciach, w tym także ołowiem, wskazujemy głównie na zakłady produkcyjne, tymczasem to nie tylko one mogą być źródłem toksyn.
Ołowica nie jest problemem z lat 70. XX wieku. Już starożytni Rzymianie na nią chorowali, bo pili wodę, która płynęła rurami zrobionymi z ołowiu. Duży wpływ na zatrucie ołowiem miał rozwój motoryzacji, poprzez wprowadzenie benzyny ołowiowej, której w latach 60. zużywano miliony litrów, a raczej galonów, bo pierwsi problem pokazali Amerykanie. Stąd najbardziej narażeni na ołów byli ci, którzy mieszkali w pobliżu autostrad, dróg szybkiego transportu. Pili mleko od wypasanych w pobliżu zwierząt. Ale też trzeba podkreślić, że w związku z tymi zagrożeniami, zmieniły się w latach 70. dopuszczalne normy stężenia ołowiu, no i wprowadzono benzynę bezołowiową. A czy ktoś sobie zadał pytanie, co się dzieje rokrocznie z gumą startą z setek tysięcy opon, gdzie „znikają” okładziny klocków hamulcowych, które kiedyś zawierały azbest? Obcujemy z setkami produktów współczesnej chemii, więc używanie przez całe życie konkretnego kosmetyku zanieczyszczonego parabenami też może mieć negatywne skutki.

Na plus można powiedzieć, że normy związane z ochroną środowiska są coraz bardziej restrykcyjne. Bardziej trujemy się we własnych domach, przez wspomniany rozwój motoryzacji czy w zalewie mikroodpadów. Dziś mocniej truje nas smog niż zakłady metali. Zwłaszcza że technologie w tym zakresie są mocniej zaawansowane niż te 50 lat temu.
Pod koniec lat 80. i w latach 90., duńscy studenci z Aarhus, w ramach organizowanej przez nas „Szkoły Ochrony Środowiska” przyjeżdżali na Śląsk, żeby zobaczyć, jak wygląda zdegradowane środowisko. Fotografowali Hutę Kościuszko w Chorzowie. Pamiętam, jak któregoś wieczoru wracaliśmy z nimi z Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Wyraźnie było widać w świetle księżyca kłęby czarnego dymu nad zakładami, a i zapach powietrza w autobusie też się zmienił. Odłączono wieczorem filtry, liczyło się zwiększenie produkcji. Tak, jak to pokazano w serialu.

Świadomość dotycząca ochrony (nas i środowiska) w zakładach jest może większa, nie mówiąc o tym, że wiele zlikwidowano. Gorzej z naszą. Nielegalne wysypiska śmieci, często podpalane, są chyba obecnie większym zagrożeniem dla naszych organizmów. Chociaż dotyczy to oczywiście nie tylko Śląska.
I obawiam się, że niestety tak będzie, dopóki zysk i chęć szybkiego wzbogacenia się będą dla niektórych priorytetem. I ten aspekt został w serialu bardzo mocno uwypuklony, za co można reżyserowi tylko podziękować.

MIROSŁAW NAKONIECZNY

Dr hab. Mirosław Nakonieczny, emerytowany profesor UŚ. Jego specjalizację naukową stanowi m.in. fizjologia zwierząt i ekotoksykologia, a w szczególności: stres środowiskowy (zanieczyszczenie środowiska metalami) a procesy fizjologiczne i biochemiczne u bezkręgowców. Był współredaktorem wydawnictwa „Problemy środowiska i jego ochrony” i dyrektorem Centrum Studiów nad Człowiekiem i Środowiskiem UŚ.

eprasa.pl 880adb6eec

Polska
Poniedziałek, 2.03.2026

KILKA NIEOSTROŻNYCH SŁÓW JOHNA LENNONA

Czasem lepiej powiedzieć mniej, choćby nawet miało się świat u stóp. A zwłaszcza wtedy, gdy w grę wchodzi Bóg, a skutkiem jest globalny skandal

Mariusz Grabowski

W wywiadzie dla Maureen Cleave, popularnej celebrytki muzycznej, opublikowanym w „London Evening Standard" 4 marca 1966 r. znalazły się słowa Lennona, że Beatlesi są „popularniejsi od Jezusa". Przeszły do historii jako przykład wzorcowej marketingowej autodestrukcji.



FOT. KURT GUNTHER-LONDON FEATURES/EAST NEWS

Po przylocie zespołu do Stanów 11 sierpnia John Lennon – wyraźnie zdenerwowany – oficjalnie przeprosił za swoje słowa

Lennon i teologia

Zacytujmy fragment przemyśleń lidera Beatlesów w całości: „Chrześcijaństwo odejdzie. Będzie się kurczyć i zniknie. Nie potrzebuję się o to spierać - wiem, że mam rację i czas to potwierdzi. Jesteśmy teraz bardziej popularni od Jezusa. Nie wiem, co się skończy pierwsze - rock and roll czy chrześcijaństwo. Jezus był w porządku, ale jego uczniowie byli tępi i zwyczajni. To ich przekręty zrujnowały to wszystko".

Obliczmy: w chwili wypowiadania powyższych słów Lennon liczył 26 lat, a zatem nie był już dzieckiem. Był dorosłym mężczyzną, z własnymi przemyśleniami na temat świata, ludzi i kwestii transcendentnych. Miał żonę, syna i przynoszący dochód biznes. Można jednak założyć, że faktycznie tak myślał.

Co wcale nie znaczy, że swoje elukubracje musiał puszczać w świat. Nie z powodu cenzury, lecz zdrowego rozsądku - skutki Lennonowego filozofowania okazały się fatalne nie tylko dla niego, ale dla całego zespołu. Poza tym wieszczenia okazały się warte funta kłaków: chrześcijaństwo ma się dzisiaj dobrze, a Beatlesi nie istnieją od blisko pół wieku.

Powiedz mi, John...

Cofnijmy się do początków 1966 r. Beatlesi cieszyli się już statusem światowego giganta muzyki młodzieżowej. Grupa miała już na koncie sześć płyt, była już także po premierze nominowanego do Oscara filmu „A Hard Day's Night". Rok wcześniej na rozdaniu nagród Grammy Brytyjczycy zgarnęli statuetkę dla „Najlepszego Nowego Artysty", a w marcu 1966 r. zapisali się w historii jako pierwszy zespół, który otrzymał nominację w kategorii „Album Roku" za „Help!".

Wywiadów dla londyńskiej gazety „Evening Standard" Lennon, McCartney, Harrison i Starr udzielali kolejno. Rozmawiała z nimi Maureen Cleave, prywatnie ich znajoma. W 1963 r. napisała przełomowy artykuł „Dlaczego Beatlesi wywołują ten cały szał", a na początku 1964 r. Beatlesi zaprosili ją, by towarzyszyła im w trasie po USA - napisała o tym serię reportaży.

W lutym 1966 r. Cleave udała się do domu Johna Lennona, z którym w ramach tzw. segmentu „How Does a Beatle Live?" przeprowadziła z nim pamiętną rozmowę. Jak wspominała, zdziwiło ją, że muzyk interesował się filozofią i historią chrześcijaństwa, bo „nigdy wcześniej nic na ten temat nie mówił". Rozmowa została nagrana, spisana, a wywiad opublikowany. Nikt nie zaprzątał sobie głowy autoryzacją.

Alabama mówi nie!

Medialna burza wybuchła dopiero kilka miesięcy później, gdy została przytoczona w amerykańskim magazynie młodzieżowym „Datebook". Dziennikarze już na okładce wyciągnęli cytat o Jezusie, od razu dostrzegając w nim potencjał na wzbudzenie zainteresowania wśród czytelników.

„O sprawie zaczęło się robić coraz głośniej, egzemplarze „Datebook" zaczęły docierać do amerykańskich dziennikarzy radiowych, którzy w odpowiedzi na stwierdzenie Lennona ogłaszali, że... nie będą grać muzyki The Beatles. Tommy Charles stwierdził to otwarcie na antenie stacji WAQY, a jej śladem z czasem podążyło aż 30 kolejnych" - tłumaczy Dominika Bany, dziennikarka portalu eskarock.pl.

Jedna z rozgłośni w Birmingham w stanie Alabama poszła o krok dalej - na 6 sierpnia 1966 r. zorganizowała publiczne niszczenie i palenie płyt Beatlesów. Na akcji pojawiły się tłumy młodych ludzi, a także grupy Ku-Klux-Klanu, a ich zdjęcia błyskawicznie obiegły media w całych Stanach. Wielu duchownych gromiło Lennona w swoich kazaniach. To już nie była prowincjonalna imba, lecz zagrożenia dla zbliżającej się kolejnej, trzeciej trasy koncertowej Beatlesów za oceanem.

Gniew Watykanu

Potrzebne zatem były szybkie działania reanimacyjne. Zwłaszcza że spanikowany Brian Epstein rozważał początkowo nawet odwołanie trasy. Ponoć dopiero uświadomienie mu ewentualnych kosztów zerwania kontraktów zmusiło go do pojawienia się na konferencji prasowej w Nowym Jorku 5 sierpnia. Tłumaczył na niej - dość nieskładnie - że słowa Lennona „zostały wyjęte z kontekstu".

Dużo to nie pomogło - kolejne stacje radiowe, już nie tylko w Ameryce, zakazywały puszczania muzyki grupy. W sprawę zaangażował się nawet Watykan, który skrytykował wypowiedź Beatlesa. „Pewne tematy nie powinny być traktowane w sposób profanujący, nawet w świecie »beatników« - można było przeczytać w komentarzu „L'Osservatore Romano".

Tu dygresja: na „wybaczenie" ze strony Watykanu Lennon czekał ponad 40 lat. 22 listopada 2008 r. ta sama gazeta napisała: „Po tylu latach brzmi to (słowa z 1966 r.) jak przechwałki angielskiego chłopaka wywodzącego się z klasy robotniczej, który nie radzi sobie z niespodziewaną i nadmierną sławą". Dalej w samych superlatywach wypowiadała się o słynnych „Fab Four" twierdząc, że tylko „snoby" nie uznają wkładu The Beatles we współczesną kulturę.

Order Imperium

Wróćmy do lata 1966 r. W wielu ówczesnych mediach zaczęły pojawiać się teksty, że „Beatlesi budują swoją popularność na skandalach". Odnosiło się to m.in. do głośnej sprawy z początku 1965 r., gdy członkowie grupy zaczęli eksperymentować z LSD, czyli popularną w tamtych czasach substancją halucynogenną.

Oficjalnie mówiło się, że LSD dentysta Harrisona nieostrożnie dodał do ich kaw, ale było to mrugnięcie okiem do liberalnej publiki. Incydent przyczynił się do - jak wspominali później sami Beatlesi - „regularnego zażywania" przez nich narkotyku. Miał im „otworzyć wrota percepcji" i miał wpływ na muzykę, którą tworzyli.

Część społeczeństwa, szczególnie ta konserwatywna, nie kryła oburzenia, ale ku jej zaskoczeniu w czerwcu królowa Elżbieta II przyznała Beatlesom Order Imperium Brytyjskiego. „Za - jak uzasadniono - wybitne zasługi dla kultury i promocję Wielkiej Brytanii". Dotąd Order tradycyjnie przyznawany był przede wszystkim weteranom wojennym, dlatego też niektórzy Kawalerowie Orderu (w tym sporo oficerów) w ramach protestu demonstracyjnie zwracali swoje odznaczenia.

„Nie chciałem tego"

Kryzys wizerunkowy po słowach Lennona o Jezusie wydawał się jednak większy. Po przylocie zespołu do Stanów, na zorganizowanej specjalnie konferencji prasowej 11 sierpnia John Lennon - wyraźnie zdenerwowany - oficjalnie przeprosił za swoje słowa: „Przepraszam, jeśli to uraziło wasze uczucia. Nie chciałem tego. Nie jestem przeciwnikiem Boga, Chrystusa ani religii. Nie mówiłem, że jesteśmy lepsi - po prostu powiedziałem, co obserwuję. Powiedziałem to nie w sensie porównania wartości, tylko popularności".

Mimo przeprosin podczas trasy koncertowej po USA dochodziło do protestów i gróźb wobec Beatlesów - np. w Memphis, po groźbie zamachu bombowego dwa koncerty w tamtejszym Mid-South Coliseum odbyły się pod silną ochroną policji i Gwardii Narodowej. W czasie drugiego, w trakcie wykonywania utworu „If I Needed Someone", ktoś rzucił na scenę petardę. Z tego powodu koncert skrócono.

Jak twierdzą Beatlesolodzy, incydent w Memphis przyczynił się do decyzji zespołu o całkowitym zakończeniu koncertowania - ostatni koncert muzycy zagrali 29 sierpnia 1966 r. w Candlestick Park w San Francisco. Potem publicznie pojawiali się tylko okazjonalnie.

Czekolada i piękne kobiety

Po latach słowa Johna Lennona o Jezusie trzeba widzieć w kontekście jego światopoglądu. On sam uważał się za lewicującego liberała, traktującego religię z dystansem, jako zjawisko „przemijające". W rozmowie nagranej w 1969 r. i wyemitowanej przez BBC Lennon mówił np. o Kościele anglikańskim oraz swojej wizji nieba i piekła. Usprawiedliwiał się też ze swoich słów o Jezusie sprzed lat.

„Chodziło mi o to, że Beatlesi wydają się mieć większy wpływ na młodzież niż Chrystus. Nie powiedziałem, że to dobrze. Jestem jednym z największych fanów Chrystusa. I jeśli można skierować zainteresowanie Beatlesami na przesłanie Chrystusa, to po to tu właśnie jesteśmy" - tłumaczył.

Przedstawiał przy okazji swoje wyobrażenia na temat nieba i piekła: „Nie marzę o żadnym fizycznym niebie, miejscu, w którym jest mnóstwo czekolady i pięknych kobiet ubranych w suknie wieczorowe, grających na harfach. Sądzę, że można stworzyć niebo we własnym umyśle. Chrystus mówił, że Królestwo Niebieskie jest w nas i ja w to wierzę". Dwa lata później, w Nowym Jorku nagrał piosenkę „Imagine", w której skutecznie te słowa zakwestionował.

Ale to już historia Lennona-ideologa, opowieść na inną okazję.

eprasa.pl 880adb6eec

KWALIFIKACJA, CZYLI TAM, GDZIE ZACZYNA SIĘ WOJSKO

Przez lata służba wojskowa była obowiązkowa. Wezwanie na kwalifikację wiązało się z dużym stresem u młodych ludzi. Dla niektórych oznaczało to bilet do wojska, a służba wojskowa nie kojarzyła się dobrze. Teraz kwalifikacja oznacza nadanie kategorii zdrowia i wciągnięcie do rejestru. Dla części młodych ludzi jest pierwszym kontaktem z armią, zwłaszcza, że przy komisji kwalifikacyjnej często pojawiają się rekruterzy

Anna Gronczewska

W korytarzu budynku przylegającego do łódzkiej podstawówki przy ul. Królewskiej nie ma tłoku. W kilku miejscach można zauważyć plakaty zachęcające do wstąpienia w szeregi polskiej armii. Rozłożone na parapetach ulotki reklamują zawodową służbę w wojsku.

Szymon uczy się w czwartej klasie prestiżowego łódzkiego liceum. Ma już za sobą rozmowę z psychologiem, badanie przez komisję lekarską. Teraz został mu tylko przydział kategorii zdrowia.

- Nie mam wątpliwości, że dostanę kategorię A – śmieje się tegoroczny maturzysta. - By dostać niższą to trzeba mieć poważne schorzenia. Nie wiem dokładnie, ale może chodzić o cukrzycę, epilepsję albo nie mieć nogi.

Szymon nie marzy o zostaniu wojskowym. Ma nadzieję, że nie wybuchnie wojna i nie będzie musiał walczyć.

- Wojsko mnie specjalnie nie pociąga, ale nie wiadomo jak ułoży się życie – mówi. - Chcę złożyć papiery na wydział lekarski Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Gdy by się nie udało, to będę próbował dostać się na fakultet wojskowy. Tak więc wojsko może mnie nie ominąć.

Obok Szymona siada Patryk, który uczy się zaocznie. Wysoki, szczupły chłopak z krótko ostrzyżonymi włosami, ubrany na czarno. Wygląda jak urodzony kandydat do założenia munduru. Pozory jednak mylą.

- Do wojska nie pójdę, nie będę walczył za bogatych! - oburza się Patryk. - Jakby wybuchła u nas wojna, to ci co mają „siano" wyjadą, tak jak na Ukrainie, a ci co zostaną będą mięsem armatnim. Ja nie pochodzę z bogatej rodziny i boję się, że każą mi wtedy włożyć mundur.

Patryk mówi, że wojsko nigdy go nie pociągało. Nie interesuje się militariami i nawet jak był chłopcem, to nie bawił się żołnierzykami.

- Chcę być wolnym człowiekiem, wojskowy dryl nie dla mnie – zapewnia. - Tylko za bardzo otworzyłem się przed psychologiem, za dużo mu mówiłem.

Ojciec był w wojsku, ale to nie dla mnie

Z pokoju w którym przydzielane są kategorie wychodzi Mateusz, niewysoki, szczupły chłopak, uczeń czwartej klasy łódzkiego technikum.

- Oczywiście dostałem kategorię A – mówi do siedzących w korytarzu.

Twierdzi, że przez myśl mu nie przyszło by dobrowolnie iść do wojska. Choć jego ojciec był żołnierzem, nie zawodowym, i specjalnie nie narzekał.

- Wcielili go do wojska, bo służba była obowiązkowa – dodaje. - Tata dużo opowiadał o wojsku. Nie był tam szczęśliwy. Dostał powołanie pod koniec lat osiemdziesiątych, a razem z nim bilet kolejowy do Przasnysza.

Tam znajdował się Ośrodek Szkolenia Służb Radioelektronicznych. Szkolono w nim ludzi z różnych jednostek, także marynarki i lotnictwa. W tej jednostce spędził pierwsze tygodnie w mundurze. Nie zapomniał swego pierwszego dnia w wojsku i często o nim mówił.

- Tak jak nakazano, stawili się w jednostce w Przasnyszu – przypomina opowieści ojca Mateusz. - Nie była jednak podana godzina ,o której mieli tam być. Uznali, że mają czas do północy. Przed bramą spotkało się kilku chłopaków z ich rocznika i poszli do miasta zabawić się. Spędzić przyjemnie ostatnie godziny w cywilu.

Przed jednostką pojawili się ok. godz. 23 i w dobrych nastrojach. Trochę zabalowali. Byli lekko wstawieni. Ludzie z jednostki nie mieli wyjścia. Musieli ich przyjąć. Ostrzygli ich, dali wojskowe ciuchy, zabrali cywilne. Zawodowi żołnierze byli na nich wściekli. Normalnie poszliby do domu o godz. 16 lub 17, ale musieli czekać do nocy.



FOT. ANNA GRONCZEWSKA

Młodych ludzi zachęcają do służby wojskowej liczne plakaty i ulotki, czasem przychodzą też rekruterzy

- Zapamiętałem opowieść ojca o pierwszym dniu w wojsku – mówił Mateusz. - Obudził się rano, a tu wokoło dwudziestu chłopaków. Nikogo nie znał. Służył z bardzo różnymi ludźmi. Byli mniej i bardziej zaradni. Po podstawówce, technikach, ale byli i tacy, którzy mieli zaliczone kilka lat studiów. Razem z nim służył też chłopak, który dwa lata był seminarium duchownym.

Tata nie zapomniał Pawła, chłopaka, który od urodzenia miał zwichnięty staw biodrowy. Zawsze ustawiano go w ostatniej czwórce, bo utykał. Nie mógł nadążyć. Był też chłopak, który urodził się z dziurą w sercu. Inny mówił jak Himilsbach, bo przeszedł kilka operacji krtani. Miał kłopoty z oddychaniem, bieganiem. Wszyscy jednak przeszli komisję wojskową i dostali kategorię A. Wtedy przy poborze nie było zmiłuj się. Ciężko było się od wojska wykręcić. Ale tę chorą trójkę zwolnili do cywila po przysiędze.

Kto jest chętny do wojska?

Podporucznik Martyna Beczkowska z Wojskowego Centrum Rekrutacji w Łodzi mówi, że z obszaru jego działania, a więc miasta i okolic, na kwalifikację ma się zgłosić około 6,5 tysiąca osób, z czego 4,5 tysiąca z podstawowego rocznika, czyli 2007 roku. Reszta to mężczyźni, którzy nie stawili się na kwalifikację, nie mają przydzielonej kategorii. Chodzi między innymi o kobiety przydatne do służby wojskowej, a więc pielęgniarki, farmaceutki, lekarze weterynarii, studentki medycyny, ratowniczki medyczne, psycholożki.

- Trudno powiedzieć ilu z tych młodych ludzi chce dobrowolnie wstąpić w szeregi wojska - twierdzi podporucznik Martyna Beczkowska. - Na pewno jest zainteresowanie. Podczas kwalifikacji młodzi ludzie mogą dowiedzieć się więcej na temat służby wojskowej. Jak zostać zawodowym żołnierzem.

Wojtek w tym roku zdaje maturę. Podczas kwalifikacji wojskowej dostał kategorię A. Przyznaje, że pojawia się u niego myśl, by wstąpić do wojska.

- To na pewno jakiś pomysł na życie – mówi Wojtek. - Stała, pewna praca, pensja też niezła. Można awansować. Mój wujek był zawodowym wojskowym. Chwalił sobie. Jedyny minus to, że kilka razy musiał się przeprowadzać, bo zmieniał jednostki. I to z jednego końca Polski na drugi. Ale teraz ma dobrą emeryturę. Mnie życie w mundurze trochę fascynuje. Choć mogę jeszcze zostać policjantem czy strażakiem. Mam jeszcze trochę czasu na decyzję.

Jeśli wróci pobór

Wiele osób uważa, że służba wojskowa powinna być obowiązkowa. Wielu młodym chłopakom przydałaby się taka szkoła życia. Krzysztof Frątczak, działacz łódzkiej „Solidarności" , w wojsku służył trzy lata, między 1973 a 1976 r. Trafił bowiem do marynarki. Służbę odbywał na Helu, na trałowcu.

- Wspomnień z wojska nie mam złych, bo złe się zapomina – mówił nam Krzysztof Frątczak. - Pamiętam, że gdy odchodziłem do cywila usłyszałem: żołnierz to z ciebie nie był dobry, ale byłeś dobrym fachowcem, to cię trzymaliśmy. Na okręcie wszystko bowiem musiało chodzić jak w zegarku!

Szkolenie przechodził w Ustce. Bywało, że „starszyzna" kazała szorować szczoteczką do zębów kafelki na podłodze.

- Ale najbardziej lubiłem sprzątać ubikacje – zdradza dziś Krzysztof Frątczak. - Była to robota na mokro, oblało się szlauchem i było posprzątane. A gdy kazali ścierać kurze, to człowiek się narobił, a tu przyszedł podoficer, przeciągnął watą i kazał jeszcze raz sprzątać.

Kiedy służył na Helu otrzymali sygnał, że rybakom w sieć zaplątała się torpeda, niewypał z czasów II wojny światowej. Popłynęli na miejsce. Zabrali torpedę. Udali się w miejsce, gdzie mogli ją wysadzić. Okazało się jednak, że mieli za krótki lont.

Pan Krzysztof pamięta, że kiedyś na statku pojawił się młody marynarz, który nie chciał się uczyć, nic nie umiał. Starsi żołnierze znęcali się nad nim. Musiał wykonywać najgorsze prace.

- Kiedyś słyszę chrobotanie - wspomina Krzysztof Frątczak. - Patrzę, a ten marynarz siedzi pod pokładem i wierci w kadłubie ręczną wiertarka mówiąc: „Zatopię ich, zatopię!" Wytłumaczyłem mu, że nie ma na to szans. Kazałem mu za to odkręcić właz wodny. Chłopak przestraszył się, że naprawdę zatopi statek. Ale od tego czasu zaczął się uczyć i stał się wreszcie marynarzem.

Filip w tym roku kończy ósmą klasę, w prywatnej podstawówce. Do kwalifikacji wojskowej ma jeszcze trochę czasu, jednak chętnie by już przed nią stanął. Jego marzeniem jest, by zostać wojskowym. Miał kilka lat, gdy z klocków budował czołgi, bawił się karabinami.

- Chcę iść do znanego liceum wojskowego w Warszawie – mówi Filip. - Nie boję się mieszkać w internacie, z daleka od rodziny. Cieszę się, ze włożę mundur.

eprasa.pl 880adb6eec

Polska
Poniedziałek, 2.03.2026

Zamkowa Góra niczym mała kaszubska Troja

Dziś gołym okiem niewiele tu dostrzeżemy, ale Zamkowa Góra nieopodal Kartuz może skrywać fascynującą historię. Legend i opowieści bowiem nie brakuje na jej temat

Maciej Krajewski

Nieco ponad kilometr od Kartuz, w pobliżu wsi Kosy, leży wzgórze, które zdaje się od setek lat już pobudzać wyobraźnię tutejszych. Zamkowa Góra, bo o niej mowa, pojawia się w legendach jako twierdza XIII-wiecznego raubrittera, czyli rycerza-rabusia - którego zachłanność nakłoniła do uprowadzenia Damroki, córki księcia pomorskiego Świętopełka. Władca odpowiedział siłą, równając grodziszcze z ziemią.

Jest też trochę bardziej mistyczna wersja tych wydarzeń. Osadę bowiem nie tyle zniszczyły obce wojska, ile grzechy samych mieszkańców. W efekcie gród zapadł się pod ziemię - wraz z ludźmi i skarbami, które tkwią w niej po dziś dzień.

Jak zauważa archeolog Szymon Czerski, powyższe historie, choć nie mają żadnego potwierdzenia w źródłach, tak czy inaczej mogą być wskazówką, że faktycznie na Zamkowej Górze niegdyś ktoś żył.

- Zamkowa Góra w okolicach Kartuz to szczególne, chociaż nie odosobnione na mapie Kaszub miejsce, które łączy w sobie archeologię z lokalnymi podaniami folklorystycznymi - przyznaje Szymon Czerski. - Dla badacza za każdym razem tego typu korelacja stanowi wyjątkową okazję do tego, aby poznać charakterystykę danego stanowiska archeologicznego, ale też przekonać się o tym, w jaki sposób występowanie reliktów przeszłości wpłynęło na pojmowanie rzeczywistości przez ludzi żyjących jeszcze zaledwie 100 lat temu. Czy relikty dawnych społeczności budziły w tych osobach zaciekawienie, fascynację, a może strach?

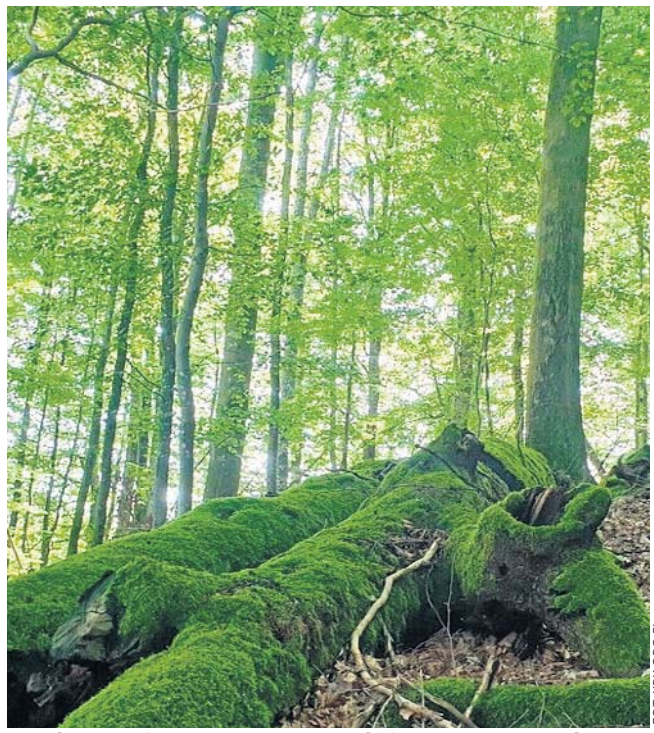
Mała kaszubska Troja

Co ciekawe, na Kaszubach nie brakuje legend, mitów o skarbach, ukrywanych we wzgórzach. O pobliskiej Górze Spiczastej krążyły opowieści, jakoby jej wnętrze miały zamieszkiwać krośnięta (lub kraśnięta), w dużym uproszczeniu pomorskie krasnale - na ogół niegroźne, ale zdolne do złośliwości. Mieszkańcy wierzyli, że owa siedziba, pełna bogactw, od czasu do czasu otwiera się, umożliwiając pozyskanie np. sztućców, biżuterii, naczyń. Krośnięta pozwalały je pożyczyć, byle tylko później oddać. Legenda głosi jednak, że jeden z tutejszych nie zwrócił zabranych przedmiotów, przez co góra zamknęła się już na zawsze.

Z jednej strony to dość oczywista przestroga przed chciwością - z podobnym przesłaniem mamy do czynienia przy opowieściach o Zamkowej Górze. Ale wszystkie one mogą być inspirowane prawdziwymi odkryciami, których ówcześni mieszkańcy nie potrafili zdefiniować. Bo i precedens już mamy, choćby w postaci mitologii greckiej, którą coraz próbujemy ugruntować w rzeczywistości jako wyolbrzymione, podkoloryzowane czy zwyczajnie błędne interpretacje naszych przodków.

- Pytanie, czy tego typu legenda nie stanowi w pewnym sensie przeniesienia informacji o wyczerpaniu się zasobów zabytkowych, które te osoby pozyskiwały? - pyta archeolog. - Czy poza kwestią nieuczciwości postaci w owym podaniu nie mamy tu przekazu, zawierającego informację o tym, że ludzie dawniej znajdowali relikty przeszłości (...) o nieznanym sobie charakterze?

Idąc dalej porównaniami do Greków, można by się wręcz pokusić o nazwanie Zamkowej Góry „Kaszubską Troją". Różnica tylko taka, że nie potrzebujemy tu pomorskiego odpowiednika Schliemanna, by przekopał nam pół regionu w poszukiwaniu ruin. Miejsce bowiem dokładnie znamy, z kolei na zdjęciach lidarowych widać kształt obwarowań czy śladów po prawdopodobnych przejazdach. A że gołym okiem trudno jest dostrzec nawet pozostałości wałów, dawni mieszkańcy okolicznych wsi prawdopodobnie mieli inne dowody. - Na tej podstawie jesteśmy w stanie stwierdzić, że legenda o Zamkowej Górze, o ile sama w sobie stanowi wyłącznie tłumaczenie rzeczywistości, to jednak wiąże się z tym, że miejscowa ludność, pomimo nieznajomości historii i prehistorii, obserwując relikty przeszłości, była w stanie wyciągać podkoloryzowane, ale jednak wnioski, dotyczące charakteru tego miejsca - wyjaśnia Szymon Czerski.



FOT. KPK.ORG.PL

Zamkowa Góra jest rezerwatem leśnym o powierzchni 8,88 ha. Mieszkańcy wierzyli, że owa siedziba, pełna bogactw, od czasu do czasu otwiera się

Zamkowa Góra czeka na przebadanie

Skoro więc to tak obiecujące stanowisko, dlaczego wciąż niewiele wiemy o Zamkowej Górze i jej przeszłości? Powód jest prosty - nigdy nie prowadzono tu zaawansowanych prac badawczych. - Stanowisko zostało odkryte w XIX w. i od tej pory, przy okazji kolejnych publikacji, ukazują się szczątkowe informacje dotyczące Zamkowej Góry - wyjaśnia Szymon Czerski. - Niemniej głównym problemem, jeśli chodzi o datowanie rzeczonego stanowiska archeologicznego, jest właśnie wynikający z braku przeprowadzonych wykopalisk, brak przedmiotów, jak ceramika, ozdoby, na podstawie których można by datować stanowisko - dodaje. - Mówimy o stanowisku archeologicznym, które nie tylko nie jest przebadane. Ono jest zaledwie dotknięte przez profesjonalną archeologię i w gruncie rzeczy czeka na przebadanie.

Według dotychczasowych ustaleń na Zamkowej Górze mieściło się wczesnośredniowieczne grodzisko dwuczłonowe. Wstępnie mówi się, iż pochodzi ono z okresu między VII a XII w. - Z czego najprawdopodobniej między VII a IX w., bo po tym okresie trwa zanik tego typu zabudowy - tłumaczy archeolog. - Są źródła pisane odnośnie tej okolicy z XIII w. i brak jest tam jakichkolwiek wzmianek dotyczących Zamkowej Góry. Dlatego taka granica.

Bez badań nie sposób jednak określić nawet, jak wyglądała zabudowa wewnętrzna. Intrygujący jest też dziwnie mały gród dolny, gdzie miałaby się znajdować przecież zabudowa użytkowa. Są natomiast wgłębienia, które mogłyby być pozostałościami jakiejś studni, a to już ważny wskaźnik osadnictwa.

Legenda wciąż żywa

Swoimi spostrzeżeniami Szymon Czerski podzielił się podczas spotkania w Muzeum Kaszubskim w Kartuzach jeszcze w połowie lutego. Nie ukrywa, że chciał w ten sposób m.in. nagłośnić sprawę, zmotywować do badań na Zamkowej Górze.

- Mam szczerą nadzieję, że w przyszłości tego typu inicjatywa zaistnieje. A i być może moje wystąpienie ożywi w jakiś sposób dyskusję na temat wartości Zamkowej Góry, nie tylko na poziomie ziemi kartuskiej - przyznaje archeolog.

Dyskusję ożywił już na spotkaniu w Kartuzach. Obecni mieszkańcy chętnie dzielili się swoimi doświadczeniami z Zamkowej Góry, historiami rodzinnymi, ale też wątpliwościami, pytaniami. Miejscem zainteresowana jest także sama dyrektor Muzeum Kaszubskiego Barbara Kąkol - tutaj w kontekście planowanego utworzenia nowego Muzeum Historii Zakonu Kartuzów. - Chciałabym rzeczywiście, żeby móc zaprezentować Zamkową Górę i pokazać stan nie tylko badań, ale też przede wszystkim, jak mogło to wyglądać - podkreśla Barbara Kąkol. - Życzmy sobie tego, żeby podjęto taką inicjatywę, żeby ta Zamkowa Góra została dla nas zbadana.

Warto wspomnieć, że podobnie o badania w tym miejscu zabiegał wcześniej już Piotr Kazana, autor artykułu poświęconego Zamkowej Górze właśnie, opublikowanego w siódmym numerze „Kartuskich Zeszytów Muzealnych" (2022 r.). Także on zwracał uwagę na fascynujący charakter stanowiska.

- Na grodzisku w Kosach nie prowadzono do tej pory żadnych badań archeologicznych, nie udało się tam również odkryć żadnych zabytków ruchomych zalegających na powierzchni. Taki stan rzeczy uniemożliwia datowanie, a nawet jednoznaczną identyfikację funkcji stanowiska - czytamy w publikacji Piotra Kazany. - Zatem jednym z podstawowych pytań, stawianych przy przyszłych wykopaliskach, będą właśnie te o datowanie, funkcję i przynależność kulturową Zamkowej Góry. Obecnie zakłada się, że stanowisko to funkcjonowało we wczesnym średniowieczu, jednak obecność grobu skrzynkowego u podnóża wzniesienia wskazywać może na wcześniejszą działalność ludzką w tym rejonie. Pochówki tego typu są charakterystyczne dla tak zwanej kultury pomorskiej, która rozwijała się we wczesnej epoce żelaza. Nie można zatem wykluczyć, że w pobliżu Zamkowej Góry funkcjonowała osada ludności tej grupy.

Są i istotne przeszkody

Dotąd nie wspomnieliśmy jednak, że Zamkowa Góra obecnie jest rezerwatem przyrody, niedostępnym dla zwiedzających. Ustanowiony on został jeszcze przez administrację pruską, podobnie pojawia się na mapach z 20-lecia międzywojennego. Jedynie po wojnie, do 1954 r., była swoista przerwa w jego istnieniu. Ponadto, choć dawniej szedł tędy szlak turystyczny (na pniach znajdziemy nawet stosowne oznaczenia), dziś, ze względów bezpieczeństwa, omija on samo wzgórze.

W efekcie, jeżeli ktoś by się zdecydował na prace wykopaliskowe, musiałby zdobyć stosowne zgody m.in. Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Badania powinny być dodatkowo prowadzone bardzo ostrożnie, by nie naruszyć rosnących tu ponad 260-letnich buków.

- Drzewostan, który tam częściowo jest zachowany, jest bardzo cennym elementem ochrony przyrody. Wszystko, co będzie się tam działo, musiałoby być podporządkowane tym regułom - podkreślał na spotkaniu w Muzeum Kaszubskim Piotr Kamiński, nadleśniczy Nadleśnictwa Kartuzy, dodając, że to właśnie te buki są wspomnianym zagrożeniem. - Ten drzewostan, z racji swojego wieku, jest w fazie rozpadu. Kwestia bezpieczeństwa przebywania w tym miejscu stanowi duży problem - wyjaśniał nadleśniczy, nie chcąc przy tym studzić zapału zebranych.

I zapału raczej nie ostudził, sądząc po nastawieniu archeologów. Szacowanych kosztów badań nasz rozmówca przy tym nie chce na razie podawać. Wiele bowiem zależy od wykorzystanych na miejscu metod. Nie powinno to jednak przekroczyć możliwości instytucji czy władz wojewódzkich. - Tego typu badania są jak najbardziej do zrealizowania - dodaje Szymon Czerski.

Czy więc w końcu poznamy historię tej małej kaszubskiej Troi? Czy było tu jedynie grodzisko wczesnośredniowieczne, czy już wcześniej starożytne ludy epoki żelaza osiedliły się w okolicy? Jakież to skarby pod górą skrywają uwięzieni w niej grzesznicy? Bez pełnoprawnych badań w terenie na ten moment pozostają nam spekulacje... no i legendy.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 880adb6eec

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Frankenstein ponownie na ekranach
6 marca do kin ponownie wgramoli się Frankenstein w filmie (i według scenariusza) Maggie Gyllenhaal „Panna młoda!". Jesteśmy tym razem w Chicago, są lata 30. XX w. Samotny potwór uprasza doktora Euphroniusa o pomoc w stworzeniu towarzyszki, ożywiają więc zamordowaną kobietę. No i zaczynają się kłopoty. W rolach głównych Jessie Buckley i Christian Bale.

ZA TYDZIEŃ

Obława krakowskiej policji na pewnego kasiarza!
W kwietniu 1932 r. policja stoczyła w Krakowie walkę z groźnym przestępcą. W użyciu były nawet granaty z gazem łzawiącym.



FOT. CC

Wolne Miasto Białystok. Żydzi, Polacy i kwestia niepodległości

M. Grabowski, L. Strzyga
redakcja@polskatimes.pl

U progu II RP Żydzi chcieli stworzyć własny okręg autonomiczny – żydowską Ziemię Obiecaną. Stolicą tego podlaskiego miniIzraela miał być Białystok.

Zacznijmy od statystyki. W 1895 roku Żydów w Białymstoku było najwięcej w historii – około 75%. Wybuch I wojny przyniósł kolejne zmiany w strukturze demograficznej Białegostoku. Rosyjska ewakuacja, zniszczenia wojenne, niemieckie kontrybucje i rekwizycje spowodowały odpływ z miasta dodatkowych kilkudziesięciu tysięcy polskich mieszkańców.

To wtedy w środowiskach żydowskich, krajowych i zagranicznych, pojawił się pomysł na separatystyczne Wolne Miasto Białystok, z większą lub mniejszą autonomią. Na przeszkodzie stanęło nowo powstałe państwo polskie.



FOT. CC

Niemcy zajęli Białystok w 1915 roku. Na zdjęciu sklepiki żydowskie tuż obok ratusza i wagi miejskiej (fotografia ze zbiorów M. Marczaka)

„Panują wszechwładnie"

„Według danych okupanta ludność Białegostoku liczyła w 1916 roku 54 260 osób, w tym nie mniej niż 40 000 Żydów (ok. 72%). Proporcje te uległy kolejnej zmianie w ciągu pierwszych lat po zakończeniu wojny. Repatriacje Polaków z Rosji, napływ polskich urzędników i inteligencji, przyłączenie do miasta okolicznych wsi, emigracja Żydów, utrata przez Białystok atrakcyjności i siły przyciągania sprawiły, iż w 1921 roku wśród 76 792 białostoczan 37 186 (48,7%) zadeklarowało narodowość żydowską, a 39 602 (51,6%) religię mojżeszową. Żydzi pozostali jednak największą etniczną grupą miasta obok 46,6% ludności narodowości polskiej, 1,8% rosyjskiej, 0,8% białoruskiej, 1,9% niemieckiej i 0,2% innych (według religii – 38,6 proc. katolików, 6,2% prawosławnych, 3,2 proc. ewangelików, 0,3% innych chrześcijan i 0,1% innych)" – pisze Piotr Wróbel w opracowaniu „Na równi pochyłej. Żydzi Białegostoku w latach 1918-1939: demografia, ekonomika, dezintegracja, konflikty z Polakami".

Dodatkowo, na początku XX wieku do Białegostoku napłynęła znaczna liczba Żydów, tzw. litwaków, z rejonu Brześcia i Wilna. Oblicza się, że tuż przed wybuchem wojny światowej Żydzi posiadali ok. 100 bożnic i domów modlitwy. Jak wspominał por. Leon Mitkiewicz-Żółtek, „Żydzi panują tu wszechwładnie – peł-no ich wszędzie".

W Paryżu i Białymstoku

W tym momencie na scenę wkraczają też polityczne organizacje żydowskie, przede wszystkim partia Jidisze Folks-Partej in Pojln, działająca od początku XX wieku w rosyjskiej strefie osiedlenia i na terenach Królestwa Polskiego. Folkiści, w przeciwieństwie do ruchów syjonistycznych, uważali, że nie było sensu wyjeżdżać na Bliski Wschód, gdyż to właśnie Białystok, według nich, był miejscem, gdzie Żydzi mogliby żyć oraz funkcjonować. Część ludności żydowskiej miasta, skupiona wokół pisma „Gołos Bielostoka", wprost wystąpiła z żądaniem utworzenia Wolnego Miasta Białystok.

Szybko pojawiły się szczegółowe plany, jak stworzyć taką autonomię. Na wpół tajnie wybierano delegatów, przyszłych wójtów i burmistrzów. Pojawiły się plany powołania do życia żydowskiej samoobrony w formie milicji. Autonomia, żydowska Ziemia Obiecana, „miała sięgać od Wilna, zajmować wschodnią część Polski, część Białorusi, a dalej rozciągać się aż po Ukrainę" – łumaczy białostocki historyk Wojciech Śleszyński.

Wydarzenia na Podlasiu były jednak tylko echem tego, co działo się w Paryżu. To tam po raz pierwszy żądanie szerokiej żydowskiej autonomii w Polsce zostało wysunięte na konferencji pokojowej. Podczas rokowań liderzy żydowscy próbowali przekonać zwycięskich aliantów oraz liderów polskiej delegacji (przede wszystkim Ignacego Paderewskiego i Romana Dmowskiego), że realizacja tych postulatów przysłuży się zarówno żydowskim, jak i polskim interesom. Główny plan obejmował propozycję proporcjonalnej reprezentacji Żydów w polskim parlamencie, powstania demokratycznych kahałów, a także stworzenia ciała o nazwie Żydowska Rada Narodowa, wybieranego przez całą społeczność polskich Żydów.

„Ten polityczny twór miałby proponować kandydatów do zajmowania się sprawami żydowskimi przy polskim rządzie. Na tak postawione postulaty i sugestie na dobrą sprawę nikt ze strony polskiej nie zamierzał poważnie odpowiedzieć, nie mówiąc już o spełnieniu tych żądań" – pisze Mikołaj Mirowski w tekście „»Kwestia żydowska« u progu i na początku istnienia drugiej Rzeczypospolitej".

„Mały Wersal"

Z nieco lepszym skutkiem przedstawiciele żydowscy w Paryżu przekonywali państwa Ententy. Postulowano, że Polska powinna zostać związana swego rodzaju międzynarodowym porozumieniem regulującym sposób postępowania wobec jej narodowych i religijnych mniejszości. Delegacja Polska w Paryżu mocno się temu sprzeciwiła, lecz o ile mogła zlekceważyć żydowskich reprezentantów, o tyle nie mogła zrazić do siebie Francji i Wielkiej Brytanii.

Ostatecznie w czerwcu 1919 roku Polska podpisała ze zwycięskimi mocarstwami traktat mniejszościowy, zwany potocznie „małym traktatem wersalskim". Dwa artykuły w tym dokumencie odnosiły się bezpośrednio do mniejszości żydowskiej. „Pierwszy z nich zobowiązywał rząd polski, by zezwolił na istnienie szkół kontrolowanych przez żydowskie przedstawicielstwa, a utrzymywanych przez państwo. Drugi zabraniał rządowi zmuszania Żydów do pogwałcenia szabatu" – dowodzi Mirowski.

Co ciekawe, delegacja Polska nie ukrywała oburzenia faktem, iż wymuszono na niej podpisanie traktatu mniejszościowego. Powszechnie uważano to za niedopuszczalny akt ingerencji ze strony aliantów. Oskarżano także Żydów o zaaranżowanie i prowadzenie zakulisowych gier, by doprowadzić do jego podpisania. Sejm ustawodawczy ratyfikował dokument dopiero wtedy, gdy potępiły go wszystkie odłamy polskiej opinii publicznej.

Jidyszland? Nie!

Największy opór żydowskim tendencjom separatystycznym postawiła polska prawica, głównie Narodowa Demokracja. Jej stanowisko opierało się na dwóch przesłankach: wrogości wobec Żydów jako nieprzyjaciół sprawy polskiej oraz przekonaniu, że większość z nich nie jest w stanie się zasymilować. „Roman Dmowski wyrażał opinię, że Żydzi od dawna służyli interesom niemieckim, a program syjonistyczny był zakamuflowaną próbą rządzenia światem z Palestyny" – pisze Mirowski.

Antyasymilacyjne koncepcje prawicy zostały podsumowane przez Dmowskiego jeszcze przed wybuchem wojny w „Myślach nowoczesnego Polaka": „W charakterze tej rasy tyle się nagromadziło i ustaliło właściwości odmiennych, obcych naszemu ustrojowi moralnemu, że zlanie się z większą ilością tego żywiołu zgubiłoby nas, zastępując elementami rozkładowymi młode twórcze pierwiastki, na których budujemy przyszłość" – pisał o Żydach. Jednocześnie zdecydowanie przeciwstawiał się koncepcji autonomii i wizji przeobrażenia Polski w tzw. Jidyszland.

Ale endecja nie była osamotniona – większość ówczesnych polskich sił politycznych opowiadała się zgodnie przeciwko idei żydowskiej samorządności. Żydzi, owszem, mogli zakładać szkoły, lecz tylko własnym kosztem. Państwo wbrew zapisom traktatu mniejszościowego nie tylko odmówiło ich subsydiowania, ale też na wiele sposobów utrudniało ich funkcjonowanie i pilnowało, żeby ich absolwenci nie mieli wstępu na polskie uniwersytety. Z tego i wielu innych powodów nie zdołano stworzyć podwalin pod trwałą i świecką odrębność kulturową Żydów.

Kahał, który według założeń miał stać się ramą administracyjną autonomii, został określony przez polskie prawo jako instytucja stricte religijna. Nigdy nie powstało również ogólnopolskie żydowskie przedstawicielstwo ani nawet przewidziana ustawą centralna reprezentacja gmin wyznaniowych.

Koniec marzeń

Ostatecznie po wycofaniu się Niemców i przejęciu 19 lutego 1919 r. władzy w Białymstoku przez Polaków separatystyczne pomysły Żydów zostały radykalnie zlikwidowane. Jednocześnie, na mocy decyzji z 10 maja 1919 r., obszar miasta powiększono przez przyłączenie okolicznych wiosek i letnisk zamieszkałych w przeważającej większości przez Polaków. Zmiany te spotkały się z „histeryczną" – jak pisała ówczesna prasa – postawą niektórych środowisk żydowskich, które zdecydowały się na bojkot wrześniowych wyborów do Rady Miejskiej. Żadnego rezultatu nie przyniosły apele na łamach drugiego pod względem nakładu żydowskiego dziennika „Los Naje Łebn", w których zachęcano do udziału w wyborach. W efekcie w Radzie nie znalazł miejsca ani jeden przedstawiciel wyznawców religii mojżeszowej.

Nadal notowano w mieście przewagę ludności żydowskiej (53,7 proc.), ale nie była już ona przygniatająca. Podobnie dopiero w sierpniu 1919 r. ustawa sejmowa zdecydowała o utworzeniu województwa białostockiego – 3,5 razy większego niż za czasów rosyjskich.

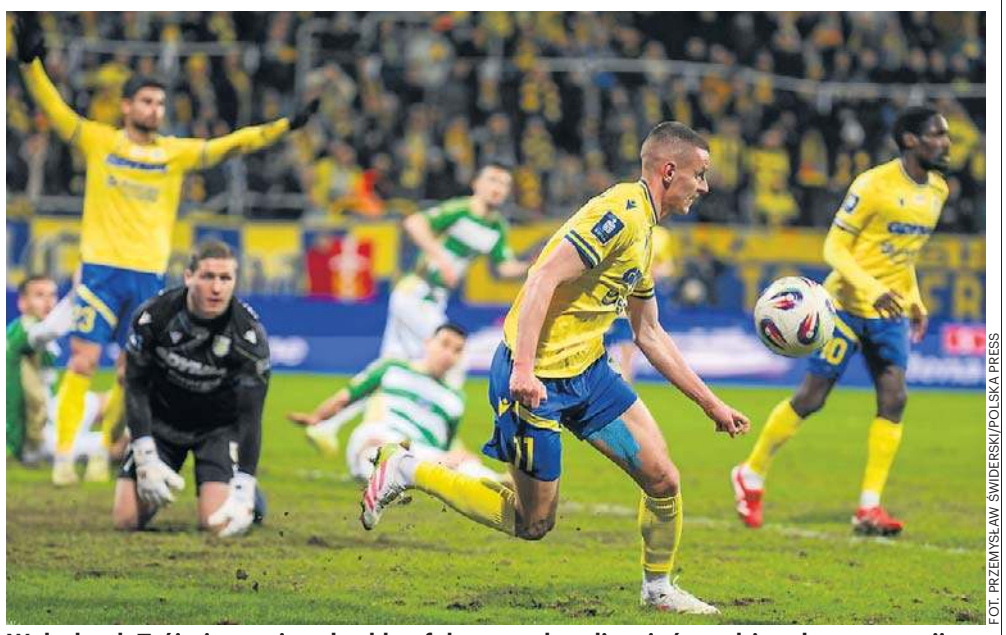
eprasa.pl 880adb6eec

PKO BP Ekstraklasa Nawet system VAR nie pomaga polskim sędziom

Wypaczone derby. I katastrofa Widzewa za 100 milionów złotych

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Wydawałoby się, że w dobie systemu VAR wypaczenie wyniku meczu jest niemożliwe. Nic bardziej mylnego. Kolegium Sędziów PZPN potwierdziło koszmarny błąd w derbach Trójmiasta...



FOT. PRZEMYSŁAW ŚWIDERSKI/POLSKA PRESS

W derbach Trójmiasta nie zabrakło efektownych goli, spięć, a także... kontrowersji

To Arka została skrzywdzona, nie dostając rzutu karnego w końcówce starcia z Lechią.

Pierwszy raz - od blisko 7 lat - w trójmiejskich derbach padł remis. Mecz mimo fatalnej murawy stał na wysokim poziomie i trzymał w napięciu do ostatniego gwizdka. Arka, dopingowana przez rekordową w 15-letniej historii stadionu liczbę kibiców, może pluć sobie w brodę. W drugiej połowie wypuściła bowiem ciężko wypracowane dwubramkowe prowadzenie. U żółto-niebieskich zachwycił zwłaszcza Oskar Kubiak, który już na początku posłał do siatki piłkę pędzącą blisko 100 km/h.

- Tego strzału nie obroniłoby nawet dwóch bramkarzy - komplementował trener Lechii, John Carver. Dla 19-letniego pomocnika była to debiutancka bramka. Jesienią grał jeszcze w 2. lidze na wypożyczeniu do beniaminka Sokoła Kleczew. Wykręcił tam fantastyczne liczby, więc postanowiono skrócić umowę o rundę - za 200 tys. złotych.

Nieoczywistym bohaterem Arki okazał się zastępca wykartkowanego lidera defensywy, Michała Marcjanika - Kike Hermoso, który interweniował głową na linii po próbie Tomasa Bobceka. Lider strzelców ligi gola nie strzelił, ale Lechia i tak uciekła spod topora. Już po ustaleniu wyniku mogła mówić o wielkim szczęściu. Arka nie dostała bowiem spodziewanej jedenastki za ewidentny faul Bujara Pllany na Vladislavsie Gutkovskisie.

Dlaczego? Tego ciągle nie wiadomo. Prowadzący zawody Paweł Raczkowski z Warszawy nie obejrzał powtórek na monitorze, tylko posiłkował się interpretacją Pawła Pskita siedzącego w wozie VAR, który przekazał mu błędną opinię - przez słuchawkę. Dzień po meczu 6-osobowe Kolegium Sędziów PZPN, któremu przewodniczy Marcin Szulc, potwierdziło, że przebieg derbów został wypaczony.

„Pllana trzymał Gutkovskisa dwiema rękami, nie był skupiony na piłce i jego zachowanie nosiło istotny zamiar utrudnienia poruszania się rywalowi" - czytamy w opisie. W Arce wcale nie czują ulgi z powodu tego komunikatu. Obawiają się, że tych spodziewanych, ale utraconych punktów może w końcowym rozrachunku zabraknąć.

W walkę o byt niespodziewanie wplątał się Widzew, który pozostaje w strefie spadkowej. Zespół zbudowany za 100 mln złotych właściciela Roberta Dobrzyckiego doznał już trzeciej porażki w piątym meczu tego roku. Tym razem nie był w stanie zagrozić Pogoni. Kibice, którzy w nadkomplecie pojechali do Szczecina, domagają się zwolnień trenera Igora Jovicevicia i/lub odpowiadających za kształt kadry działaczy: Dariusza Adamczuka i Piotra Burlikowskiego.

W weekend błysnęły za to inne drużyny. Fantastycznie po przerwie w Krakowie wypadł Piast Gliwice. Dzięki zmiennikom strzelił aż trzy gole, wygrywając po dwóch porażkach z rzędu. Trener Daniel Myśliwiec z Cracovią na jej stadionie jeszcze nie przegrał, a było to dla niego już piąte spotkanie.

Powody do radości mają także w Motorze. Właściciel Zbigniew Jakubas wytrzymał presję i nie zwolnił trenera Mateusza Stolarskiego, gdy ten kiepsko finiszował w ubiegłej rundzie i słabo zaczął obecną. W sobotę zespół pod jego wodzą gładko uporał się z Koroną Kielce. Trzynastego gola w sezonie zdobył Karol Czubak - najskuteczniejszy Polak w PKO Ekstraklasie. ©℗

23. KOLEJKA EKSTRAKLASY

CRACOVIA - PIAST GLIWICE 2:3
Bramki: Kameri 40, Minczew 76 - Barkowskij 55-karny, Felix 82, Chrapek 88.

ARKA GDYNIA - LECHIA GDAŃSK 2:2
Bramki: Kubiak 6, Navarro 46 - Sezonienko 54, Żelizko 57.

POGOŃ SZCZECIN - WIDZEW ŁÓDŹ 1:0
Bramka: Angielski 58.

MOTOR LUBLIN - KORONA KIELCE 2:0
Bramki: Ndiaye 18, Czubak 34.

GKS KATOWICE - GÓRNIK ZABRZE 3:1
Bramki: Nowak 23, Wędrychowski 85, Jędrych 90+7-karny - Liseth 44.

BRUK-BET TERMALICA NIECIECZA - RADOMIAK RADOM 1:1
Bramki: Kurzawa 65 - Tapsoba 68.

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK - LEGIA WARSZAWA 2:2
Bramki: Flach 17, Pululu 22 - Vital 45+1 (bramka samob.), Flach 57 (bramka samob.).

1. Jagiellonia Białystok	21	37	37-24
2. KGHM Zagłębie Lubin	22	35	35-27
3. Lech Poznań	22	35	36-31
4. Raków Częstochowa	22	34	28-25
5. Górnik Zabrze	23	34	33-31
6. Wisła Płock	22	33	24-18
7. Cracovia	23	33	29-25
8. Pogoń Szczecin	23	31	33-35
9. Korona Kielce	23	30	27-26
10. GKS Katowice	22	30	31-32
11. Motor Lublin	23	30	32-37
12. Radomiak Radom	22	29	37-34
13. Piast Gliwice	23	29	26-28
14. Lechia Gdańsk	23	28	46-45
15. Arka Gdynia	22	26	21-38
16. Legia Warszawa	22	24	25-27
17. Widzew Łódź	23	24	29-33
18. Bruk-Bet Termalica	23	22	27-40

Program 24. kolejki:
Piątek, 6.03
Lechia Gdańsk - Jagiellonia (godz. 20.30).
Sobota, 7.03
Korona Kielce - Bruk-Bet Termalica Nieciecza (godz. 14.45), Piast Gliwice - KGHM Zagłębie Lubin (godz. 17.30), Widzew Łódź - Lech Poznań (godz. 20.15).
Niedziela, 8.03
Motor Lublin - Górnik Zabrze (godz. 12.15), Radomiak Radom - GKS Katowice (godz. 14.45), Raków Częstochowa - Pogoń Szczecin (godz. 17.30), Legia Warszawa - Cracovia Kraków (godz. 20.15).
Poniedziałek, 9.03
Wisła Płock - Arka Gdynia (godz. 19.00).

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

14 goli
Tomáš Bobček (Lechia Gdańsk)
13 goli
Karol Czubak (Motor Lublin)
11 goli
Mikael Ishak (Lech Poznań), Sebastian Bergier (Widzew Łódź)
10 goli
Jesus Imaz (Jagiellonia Białystok), Jonatan Braut Brunes (Raków Częstochowa), Afimico Pululu (Jagiellonia Białystok
8 goli
Łukasz Sekulski (Wisła Płock)

BOHATER WEEKENDU

Bartosz Nowak (GKS Katowice)
Nie ma ligowca w wyższej formie. W tym roku bryluje w każdym meczu, dokładając kolejne gole (ma ich już 7) i asysty (9 – lider klasyfikacji). W wygranym spotkaniu z Górnikiem Zabrze Sotworzył wynik. 32-latek po cichu liczy na powołanie do reprezentacji Polski.



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

Szwarga rozgoryczony po derbach Trójmiasta. Gasparik twierdzi: Byliśmy lepsi

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Nie milkną echa skandalu sędziowskiego w Gdyni, gdzie arbiter główny Paweł Raczkowski - mimo konsultacji z VAR - nie podyktował rzutu karnego dla Arki w derbowym starciu z Lechią.

Dzień później Kolegium Sędziów PZPN nawet potwierdziło w oficjalnym komunikacie, że doszło do błędu arbitrów.

Trener beniaminka Dawid Szwarga już na pomeczowej konferencji miał więc pełne prawo czuć się poszkodowany.

- Chcieliśmy przejść do historii jako drużyna, która jako pierwsza wygrała w ekstraklasie z Lechią. Ten wynik bardzo boli zespół, który dał dziś z siebie maksimum, i nie tylko walczył, ale również kreował sytuacje. Oczywiście, Lechia też takie okazje miała. Szkoda jednak, że w tym emocjonującym derbowym spotkaniu pierwszoplanową postacią była osoba spoza Arki i Lechii - w ten sposób szkoleniowiec gospodarzy odniósł się do błędu sędziego, który nie podyktował rzutu karnego w 74. minucie derbów Trójmiasta po zapaśniczym faulu na Vladislavsie Gutkovskisie.

Szkoleniowiec odniósł się również do sytuacji w tabeli, która zmienia się jak w kalejdoskopie, zatem każda strata punktów może słono kosztować. - Wyobraźmy sobie sytuację, że to ostatnia kolejka, jutro grają Widzew i Legia, wygrywają swoje mecze i Arka ląduje w strefie spadkowej. I kto za to weźmie odpowiedzialność? Oczywiście trener, dlatego nie można przejść do porządku dziennego obok tego wydarzenia.

- Wszyscy widzieli, że przegrał zespół lepszy - rozpoczął z kolei trener Górnika Zabrze Michal Gasparik po przegranym śląskim klasyku z GKS Katowice (1:3). Na pomeczowej konferencji Gasparik przekonywał, że jego drużyna stworzyła więcej klarownych sytuacji i prezentowała wyższą jakość. - Widać pomysł na grę, jakość, tylko gole nie wpadają. Trzeba dalej pracować na sto procent - dodawał Słowak.

Trener Korony Kielce Jacek Zieliński po porażce z Motorem (0:2) również nie krył rozgoryczenia, choć pochwalił bramkarza rywali Ivana Brkicia, który szczególnie w drugiej połowie w pojedynkę zapewnił gospodarzom trzy punkty. - Miał dzień konia. Gralibyśmy do godziny 23 i też nic byśmy nie strzelili - przyznał Zieliński.

W typowanym na jeden z hitów kolejki spotkaniu Widzew przegrał z Pogonią (0:1) po premierowym golu Karola Angielskiego. Dla wzmocnionego łódzkiego zespołu to już trzecia porażka w rundzie wiosennej. - Przegraliśmy mecz, ale bitwa trwa. Nie mamy dużo czasu na odpoczynek. Zaledwie dwa dni i przygotowujemy się do środowego ćwierćfinału Pucharu Polski z GKS Katowice - zapowiedział trener Widzewa Igor Jovićević po starciu w Szczecinie. ©℗

eprasa.pl 880adb6eec

Liga Konferencji Lech i Raków z nadziejami na awans do kolejnej rundy

SZANSE NA POLSKI... PÓŁFINAŁ

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

Lech Poznań i Raków Częstochowa zagrają w marcu w 1/8 finału Ligi Konferencji. Kolejorz zmierzy się z ukraińskim Szachtarem, a Medaliki z włoską Fiorentiną.



FOT. DAWID WYGAS/POLSKA PRESS

Raków i Lech prezentują odmienne style gry, ale oba zespoły są skuteczne w Europie

Los zadecydował, że reprezentanci polskiego futbolu mogą - ewentualnie - wpaść na siebie najwcześniej w półfinale tych europejskich rozgrywek.

Ścieżka Lecha

Rozgrywka Lecha z Szachtarem Donieck wydaje się bardzo trudnym zadaniem. Tym bardziej, że to mało prawdopodobne, aby oba spotkania 1/8 finału rozegrał w Polsce; nawet w sytuacji, gdy - z racji trwającej już 4 lata wojny na Ukrainie - wielokrotny mistrz tego kraju rozgrywa mecze domowe w Krakowie. Zmiany domaga się bowiem trener Szachtara, Arda Turan. Półfinalista Euro 2008 i były piłkarz m.in. Barcelony, postawił sprawę jasno: - Powiem szczerze, nie chciałbym rozgrywać dwóch meczów w Polsce z polską drużyną. Gdyby było to technicznie wykonalne, chcielibyśmy rozegrać mecz na stadionie Goztepe w Izmirze. To bardzo ładny stadion, piękne miasto i drużyna z długą tradycją.

Warto odnotować, że jeśli Lech dostałby się do półfinału i osiągnął największy sukces w historii w europejskich pucharach, to na drodze do finału stanąłby jeden z grona czterech następujących rywali: Crystal Palace, AEK Larnaca, Fiorentina i... Raków Częstochowa.

Ścieżka Rakowa

Zespół z Częstochowy najpierw musi uporać się z Fiorentiną, która wyeliminowała Jagiellonię Białystok w fazie play-off. Dla Częstochowian nie jest to wymarzony los.

„To szczęśliwe losowanie dla Violi, która ominęła Strasbourg, jednego z faworytów do zwycięstwa w rozgrywkach" - oceniają Włosi z portalu „Firenze Today".

„Z pewnością mogło być gorzej" - dodali autorzy włoskiego oddziału Eurosportu.

Szanse Kolejorza na awans do półfinału sięgają - wedle analityka serwisu Weszło.com - 15 procent, Medalikom na trudniejszej ścieżce przyznano na to zaledwie 5 procent. Szansa na to, że Lech i Raków staną naprzeciw siebie w półfinale, ma wynosić zaledwie 0,7 procent...

Pary 1/8 finału Ligi Konferencji:
Lech Poznań - Szachtar Donieck
AZ Alkmaar - Sparta Praga
Crystal Palace - AEK Larnaka
Fiorentina - Raków Częstochowa
Samsunspor - Rayo Vallecano
Celje - AEK Ateny
Sigma Ołomuniec - FSV Mainz
Rijeka - Strasbourg
I połowa pucharowej drabinki:
Lech Poznań /Szachtar Donieck - AZ Alkmaar/Sparta Praga vs. Crystal Palace /AEK Larnaka - Fiorentina/Raków Częstochowa
II połowa pucharowej drabinki:
Samsunspor/Rayo Vallecano - Celje /AEK Ateny vs. Sigma Ołomuniec/FSV Mainz - Rijeka/Strasbourg
Terminarz fazy pucharowej:
1/8 finału: 12 i 19 marca
1/4 finału: 9 i 16 kwietnia
1/2 finału: 30 kwietnia i 7 maja
finał: 27 maja 2026 (w Lipsku) ©℗



Adam Godlewski

„Krótka piłka"

DLACZEGO „EZI" ROZCZAROWAŁ?

Z zapartym tchem czekałem na spektakl Teatru Telewizji zatytułowany „Ezi". Spodziewałem się oczywiście dzieła o Erneście Wilimowskim, a obejrzałem - również (a może w pierwszej kolejności) o Kazimierzu Górskim. I moje rozczarowanie jest teraz większe, niż były oczekiwania. Dotąd nie rozumiem, dlaczego autorzy tak bardzo nierówno potraktowali obu bohaterów...

Pana Kazimierza (prawie) wszyscy - zwłaszcza w pokoleniu 50+ - rozpoznawaliśmy i pamiętamy. Wiadomo, Trener Tysiąclecia, który futbolową kadrę zastał w totalnej rozsypce i w kilka zaledwie lat doprowadził na światowe szczyty. Orły Górskiego najpierw wygrały igrzyska, potem kwalifikacje mundialu, których kwintesencją był „zwycięski remis" na kultowym Wembley, a później były rewelacją finałów Weltmeisterschaft 1974, z których wróciły z brązem. I tytułem króla strzelców dla Grzegorza Laty. A do historii przeszły nie tylko wyniki i kunszt pochodzącego ze Lwowa szkoleniowca, ale i jego powiedzonka.

Wilimowski jest słabiej zapamiętany i podziwiany, szczególnie poza Górnym Śląskiem. Oczywiście, niesłusznie, bo to był Pan Piłkarz, który na mundialu w 1938 roku strzelił 4 gole Brazylii. I gość, od którego Górski rozpoczął ustalanie swej autorskiej jedenastki wszech czasów, uznając go za swego największego idola. Zresztą, korzystając z okazji, o klasę Eziego zapytałem kilka lat temu profesora Jerzego Talagę, który miał ten przywilej, że oglądał go na żywo. Największy z polskich teoretyków futbolu odpowiedział mi tak: - Dziś mamy Roberta Lewandowskiego - widziałem kilka jego naprawdę bajecznych zagrań - ale w mojej ocenie to nie jest taki talent jak Ernest Wilimowski. Można się zastanawiać, czy Robert to piłkarz pokroju Włodka Lubańskiego lub Kazia Deyny. Ale na pewno nie Wilimowskiego...

Słowem, w spektaklu zestawiono dwóch największych z największych. Pytanie tylko, czy naprawdę - aby ocieplić historię Eziego, który czuł się Ślązakiem i po 21 golach zdobytych w 22 meczach reprezentację Polski zamienił na reprezentację III Rzeszy, a po II wojnie zdecydował się zamieszkać w Niemczech - trzeba było zrzucać w spektaklu z pomnika (a dosłownie ze stołu, po libacji z Wilimowskim w przededniu meczu z RFN na mundialu) Górskiego? Pan Kazimierz, oprócz tego, że ma swój pomnik na Stadionie Narodowym, jest patronem kilkunastu szkół. Czy autorzy zadali sobie pytanie, czy ich wizja artystyczna może godzić w pamięć o Trenerze Tysiąclecia? Zwłaszcza u najmłodszych?

Doceniam piłkarską wielkość Eziego i staram się empatycznie podchodzić do dylematów, przed którymi stawali Ślązacy, ale słowa przypisane Górskiemu w spektaklu (cytuję z pamięci): - Może byłem nawet gorszy od ciebie, bo grałem w klubie dla Ruskich. Zresztą, gdybym był lepszym piłkarzem, to może powołaliby mnie do swojej reprezentacji i może też bym nie odmówił - są tyleż zaskakujące, co zupełnie niepotrzebne. Rodzina Górskich repatriowała się przecież ze Lwowa chwilę po tym, jak młodszy brat Kazimierza dostał powołanie do sowieckiej armii; i naprawdę szybko wylądowała w Szczecinie...

Jestem zdegustowany. Tym bardziej, że legenda Eziego zupełnie nie potrzebuje podpórki wariacją na temat Górskiego...

Dobre wieści dla „Barcy" w Champions League

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

FC Barcelona Roberta Lewandowskiego i Wojtka Szczęsnego w 1/8 finału Ligi Mistrzów wylosowała Newcastle United. Atalanta Nicoli Zalewskiego trafiła na Bayern Monachium.

Najbliższy przeciwnik dla Dumy Katalonii wydaje się niezbyt trudny, ale angielski średniak potrafił już pokazać pazur w LM.

Jeśli Barca - zgodnie z oczekiwaniami - weźmie tę przeszkodę, w ćwierćfinale zmierzy się ze zwycięzcą dwumeczu Tottenham - Atletico. „Koguty" w Premier League zawodzą, walcząc w dolnej połowie tabeli, ale w Champions League w fazie ligowej zajęły wysokie 4. miejsce. Z kolei Atletico niedawno rozgromiło Barcelonę 4:0 w półfinale Pucharu Króla, lecz i tak nie sposób oprzeć się refleksji, że Duma Katalonii trafiła do dużo łatwiejszej części drabinki: bez Realu, Chelsea, PSG, Bayern Monachium, Liverpoolu czy Man. City.

Zatem? - W zeszłym sezonie wszyscy spodziewaliśmy się, że Barca awansuje do finału, a ten wymknął się nam z powodu detali. Dlatego teraz nie powinniśmy myśleć o finale: musimy przygotować się do walki z Newcastle. I iść krok po kroku. Barca polega na Pedrim, Lamine Yamalu, istotny jest Raphinha: to oni robią różnicę. Jest grupa liderów, jest atmosfera, a to pierwszy krok do osiągnięcia wielkich rzeczy - ocenił były gracz FCB Ivan Rakitić dla „Mundo Deportivo".

Pary 1/8 finału Ligi Mistrzów:
PSG - Chelsea;
Galatasaray - Liverpool;
Real Madryt - Manchester City;
Atalanta - Bayern Monachium;
Newcastle United - FC Barcelona;
Atlético Madryt - Tottenham;
Bodø Glimt - Sporting CP;
Bayer Leverkusen - Arsenal.
II połowa pucharowej drabinki:
PSG/Chelsea - Galatasaray/Liverpool vs. Real Madryt/Manchester City - Atalanta/Bayern.
II połowa pucharowej drabinki:
Newcastle United/FC Barcelona - Atlético Madryt/Tottenham vs. Bodø Glimt/Sporting CP - Bayer Leverkusen/Arsenal.
Terminarz fazy pucharowej:
1/8 finału: 10/11 oraz 17/18 marca;
1/4 finału: 7/8 oraz 14/15 kwietnia;
1/2 finału: 28/29 kwietnia oraz 5/6 maja;
finał: 30 maja 2026 r. w Budapeszcie.

W porównaniu do Ligi Mistrzów w 1/8 finału Ligi Europy zobaczymy więcej Polaków. W Aston Villi występuje Matty Cash, w Panathinaikosie Karol Świderski, w Bolonii Łukasz Skorupski, w AS Roma Jan Ziółkowski, a FC Porto to klub Jana Bednarka, Jakuba Kiwiora i Oskara Pietuszewskiego.

Lider ligi portugalskiej nie jest - zdaniem bukmacherów - faworytem starcia ze Stuttgartem, ale... - Nasi zawodnicy ofensywni mają mnóstwo zadań defensywnych. I to też powód, że tracimy tak mało goli. Trudniej jest pokonać jedenastu broniących niż siedmiu - ocenił Bednarek na kanale „Łączy nas piłka".

Pary 1/8 finału Ligi Europy:
Ferencvaros - Sporting Braga;
Panathinaikos Ateny - Real Betis;
Genk - Freiburg;
Celta Vigo - Olympique Lyon;
VfB Stuttgart - FC Porto;
Nottingham Forest - FC Midtjylland;
Bologna - AS Roma;
Lille - Aston Villa.
I połowa pucharowej drabinki:
Ferencvaros/Sporting Braga - Panathinaikos Ateny/Real Betis vs. Genk/Freiburg - Celta Vigo/Olympique Lyon.
II połowa pucharowej drabinki:
Stuttgart/FC Porto -Nottingham Forest/FC Midtjylland vs. Bologna/AS Roma - Lille/Aston Villa.
Terminarz fazy pucharowej:
1/8 finału: 12 i 19 marca (losowanie 27 lutego);
1/4 finału: 9 i 16 kwietnia;
1/2 finału: 30 kwietnia i 7 maja;
finał: 20 maja 2026 r. w Stambule. ©℗



FOT. EPA/MICHELE MARAVIGLIA

Nicola Zalewski w 1/8 finału Champions League sprawdzi - wraz z kolegami z Atalanty - formę Bayernu Monachium

eprasa.pl 880adb6eec

Iga Świątek wraca do gry w tenisowym raju

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Iga Świątek wraca na kort. W nadchodzącym tygodniu rozpocznie Indian Wells. Tymczasem Magdalena Fręch trzeci raz w karierze zagrała w finale turnieju WTA, tym razem w Meridzie.**

Numer 2 na świecie, Iga Świątek, jest aktualną mistrzynią Wimbledonu i sześciokrotną zwyciężczynią turniejów Wielkiego Szlema,ale od czasu zwycięstwa w turnieju WTA 500 Korea Open we wrześniu ubiegłego roku nie wygrała żadnego tytułu singlistki.

24-letnia raszynianka odpadła w czwartej rundzie China Open i w ćwierćfinale Wuhan Open pod koniec 2025 roku, nie udało jej się też awansować do fazy grupowej WTA Finals w Rijadzie.

Rok 2026 Świątek rozpoczęła od zdobycia przez reprezentację Polski pierwszego tytułu United Cup, chociaż Iga uległa w półfinale „Coco" Gauff, a następnie w finale zawodów drużyn mieszanych Belindzie Bencic.

Następnie druga rakieta świata przegrała w ćwierćfinale Australian Open w dwóch setach z późniejszą zwyciężczynią Jeleną Rybakiną, a potem w ćwierćfinale Qatar Open uległa Marii Sakkari.

Od porażki z Sakkari w Dosze 12 lutego Świątek zrobiła sobie przerwę, rezygnując z udziału w turnieju Dubai Tennis Championships.

Forma Polki w ostatnich miesiącach nie była na najwyższym poziomie i teraz będzie szukać odrodzenia w Indian Wells - jednym z jej najszczęśliwszych turniejów.

Iga jest dwukrotną mistrzynią prestiżowego turnieju WTA 1000 w tenisowym raju na kalifornijskiej pustyni. W 2022 roku pokonała Sakkari, zdobywając tytuł, a w 2024 roku ponownie zwyciężyła Greczynkę.

Dotarła do czterech kolejnych półfinałów turnieju, przegrywając w półfinale w 2023 roku z późniejszą mistrzynią, Rybakiną, a następnie na tym samym etapie w 2025 roku z późniejszą mistrzynią Mirrą Andriejewą.

Obecnie jest jedną z 10 kobiet, które zdobyły dwa tytuły w Indian Wells, choć może zostać pierwszą kobietą, która zwycięży w turnieju trzy razy.

Świątek ma być w tym roku drugą rozstawioną tenisistką w Indian Wells, za numerem jeden na świecie - Aryną Sabalenką. Wszystkie 32 rozstawione zawodniczki otrzymają wolny los w pierwszej rundzie turnieju, co oznacza, że walka Igi o trzeci tytuł w Indian Wells rozpocznie się w przyszły piątek lub sobotę.

Już we wtorek, 3 marca, Świątek zagra w Tennis Paradise w inaugurującym turniej Pucharze Eisenhowera - jednodniowym wydarzeniu pokazowym mikstów odbywającym się w formule Tiebreak Tens.

Pula nagród w Eisenhower Cup wynosi 200 tysięcy dolarów, a w zawodach Iga weźmie udział w parze z Casperem Ruudem, z którym świetnie spisała się w grze mieszanej zeszłorocznego US Open, gdzie dotarła do finału, ostatecznie przegranego ze specjalistami od gry podwójnej i obrońcami tytułu, Sarą Errani i Andreą Vavassorim, ale hojnie nagrodzonego 500 tysiącami dolarów do podziału na mikst. W Eisenhower Cup rywalami Świątek i Ruuda będą Jack Draper i Jessica Pegula, Taylor Fritz i Jelena Rybakina, Andriej Rublow i Amanda Anisimova czy Daniił Miedwiediew i Mirra Andriejewa.

Iga jest dwukrotną mistrzynią prestiżowego turnieju WTA 1000 w tenisowym raju na kalifornijskiej pustyni

Wielce możliwe, że w drugim tygodniu Indian Wells Polka z Norwegiem wystąpią jeszcze w regularnym turnieju mikstów największych tenisowych gwiazd, w którym organizatorzy podnieśli pulę nagród z zeszłorocznych 370 000 dolarów do miliona dolarów. Zawody gry mieszanej rozpoczną się 10 marca, sześć dni po pierwszych meczach głównej drabinki singlowej.

W Indian Wells zagrają także Magda Linette i Magdalena Fręch, które jako przetarcie przed Tennis Paradise potraktowały turniej WTA 500 Merida Open Akron w Meksyku.

Linette odpadła w drugiej rundzie, przegrywając niespodziewanie z reprezentantką Andory Victorią Jimenez Kasintsevą (122. WTA).

Znacznie lepiej spisała się Fręch, która pokonała kolejno: reprezentującą Uzbekistan Marię Timofiejewę 6:4, 7:6 (8-6), Hiszpankę Jessicę Bouzas Maneiro 6:0, 6:3,Czeszkę Marie Bouzkovą 6:3, 4:6, 6:3, Chinkę Shuai Zhang 6:2, 6:7 (6-8), 6:3 i awansowała po raz trzeci w karierze do finału turnieju cyklu WTA.

©℗

Lekkoatletyka Jakub Szymański z najlepszym czasem w Europie

SPRINTERSKIE POPISY. REKORD MARIANA WORONINA ZAGROŻONY

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

10 na 10 - to skuteczność, z jaką najszybsza Polka startuje w halowych mistrzostwach kraju. Tym razem w „Arena Toruń" na „sześćdziesiątkę" Ewa Swoboda pokonała rywalki w czasie 7.07.



FOT. PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

Oliwer Wdowik systematycznie zbliża się do rekordu Mariana Woronina na 60 metrów

Halowa mistrzyni Europy (2019) i wicemistrzyni świata (2024) oraz rekordzistka kraju w biegu na dystansie 60 metrów (6.98 - 2 marca 2024, Glasgow) już po raz dziesiąty wystartowała w mistrzostwach Polski rozgrywanych pod dachem.

I po raz dziesiąty... wygrała. W finale Ewie Swobodzie zmierzono świetną reakcję startową: 0.114 sekundy.

- Kiedyś 7.07 dało mi tutaj rekord świata juniorek - przypomina podopieczna trener Iwony Krupy. - Jestem szczęśliwa, zadowolona. Kroczek po kroczku w tym sezonie idziemy do przodu i czekamy na mistrzostwa świata, które już za niespełna trzy tygodnie. Nikomu nic nie chcę udowadniać. Wiem, co myślę, co czuję, gdzie jestem. Chcę sobie jeszcze udowodnić, że stać mnie, aby jeszcze biegać poniżej 7.00. Nic jednak nie obiecuję, wiem jednak, że mnie na to stać, jak nie w tym roku, to w następnym albo jeszcze kiedyś...

Najszybszym Polakiem w hali został - po raz trzeci z rzędu - Oliwer Wdowik. Sprinter, który 3 stycznia obchodził 24. urodziny, wygrał zdecydowanie z „życiówką" 6.54 (reakcja startowa 0.132)! A mogło być jeszcze szybciej, gdyby nie gesty radości tuż przed metą...

Z takim wynikiem Oliwer Wdowik pochodzący z Zaczernia, usytuowanego około 6 km od centrum Rzeszowa, wciąż plasuje sie na czwartym miejscu w tabelach historycznych naszej lekkoatletyki.

Szybsi są tylko Marian Woronin z 6.51 (Liévin, 21 lutego 1987), Marcin Krzywański z 6.53 (Walencja, 27 lutego 1998) i Dominik Kopeć - również z 6.53 (Stambuł, 4 marca 2023).

- Celuję w finał halowych mistrzostw świata i wiem, że stać mnie na poprawienie rekordu Polski Mariana Woronina. Już było blisko. Stawka na świecie jest bardzo wyrównana, więc będzie decydować dyspozycja dnia - twierdzi Wdowik.

W konkursie skoku wzwyż bezkonkurencyjna okazała się Maria Żodzik, której zwycięstwo dała udana próba na 1.95 m. Próbowała jeszcze dwukrotnie fruwać na wysokości 2.00 m (z trzeciego skoku zrezygnowała), ale tym razem bezskutecznie.

- Jest dobrze, jestem spokojna - twierdzi Marysia. - Technicznie jestem na coraz lepszym poziomie i nie mogę się doczekać rywalizacji o medale ze światową czołówką przed własną publicznością. Będzie trzeba skakać bardzo wysoko - przewiduje.

W biegu na 60 metrów przez płotki, zgodnie z oczekiwaniami, wygrała Pia Skrzyszowska, której na mecie zmierzono 7.89.

Dla rekordzistki kraju (7.74 - Nankin, 23 marca 2025) to czwarty medal mistrzostw Polski seniorów na tym dystansie.

W tej samej konkurencji, Jakub Szymański uzyskał czas 7.40 - drugi w karierze i najlepszy w tym roku w Europie (trzeci na świecie)!

Zofia Gaborska sięgnęła po złoty medal w skoku o tyczce - 4.45 m. Trzy próby na 4.50 m zakończyły się niestety strąceniami.

Licząc tylko halę, ostatni lepszy rezultat to 4.65 m Anny Rogowskiej uzyskane podczas halowych mistrzostw świata w Sopocie 12 lat temu.

Dopiero drugie złoto HMP w karierze wywalczyła Natalia Bukowiecka - w 2023 roku zwyciężyła na 400 metrów z halowym rekordem kraju - 50.83. Teraz uzyskała przeciętne 51.44.

Po raz kolejny w tym sezonie, kapitalnie zaprezentował się Maciej Wyderka w biegu na 800 metrów - 1:44.76 to rekord halowych mistrzostw Polski (poprzedni to 1:46.14... Wyderki sprzed roku). A w Toruniu było to ściganie bez zająca...

Dramatycznie zakończył się udział Huberta Trościanki w 70. edycji lekkoatletycznych halowych mistrzostw Polski. Wicemistrz świata, mistrz Europy i rekordzista świata juniorów w dziesięcioboju (8514 punktów - Tampere, 8 sierpnia 2025) zaczął rywalizację w siedmioboju wybornie, bijąc „życiówkę" w biegu na dystansie 60 metrów aż o 0.09 sekundy (z 7.01 na 6.92)!

Kolejną konkurencją miał być skok w dal. Minęło kilkadziesiąt minut, rozgrzewka i pojawiły się problemy. W pewnym momencie przy Hubercie pojawił się personel medyczny i trener Marek Rzepka (niegdyś współpracował z Adrianną Sułek).

Okazało się, że Trościanka doznał urazu ścięgna Achillesa lewej nogi. W praktyce oznacza to, że sezon halowy ma już z głowy (czytaj: nie ma szans na udział w toruńskich halowych mistrzostwach świata)!

***

Podczas halowych mistrzostw Grecji, które gościły w Peanii w regionie Attyka, Emmanouil Karalis wygrał konkurs skoku o tyczce z kapitalnym wynikiem 6.17 m. Później bez powodzenia próbował ustanowić rekord świata 6.31 m, ale po dwóch nieudanych próbach zrezygnował z trzeciej. Wyżej w historii skakał tylko Szwed Armand Duplantis (6.30 m).

Dotychczas rekord życiowy Karalisa, którego trenerem jest Marcin Szczepański, wynosił 6.08 m.

Tym samym Grek został drugim najlepszym zawodnikiem w historii, wyprzedzając byłego rekordzistę świata Renauda Lavilleniego. Francuz w 2014 roku pokonał poprzeczkę na wysokości 6.16 m, bijąc stary rekord świata Siergieja Bubki. ©℗

eprasa.pl 880adb6eec

Skoki narciarskie Powrót do Pucharu Świata przyniósł mieszane uczucia

TYLKO ŻYŁA DOLECIAŁ NA LOTY

Artur Bogacki
artur.bogacki@polskapress.pl

W Bad Mitterndorf odbył się pierwszy Puchar Świata po igrzyskach. Dla Polaków powrót do codzienności po olimpijskiej euforii był bolesny. 10. miejsce Piotra Żyły wczoraj wiele nie zmienia.



FOT. ERWIN SCHERIAU/AFP/EAST NEWS

Piotr Żyła próbował ratować honor polskich skoczków na mamucim obiekcie Kulm

Trzy medale na IO Mediolan-Cortina Kacpra Tomasiaka, jeden wspólnie z Pawłem Wąskiem, dawały nadzieję, że Polakom na loty na Kulm „urosną" skrzydła. Tak się nie stało – nasza kadra bez swojego lidera (Tomasiak nie wystąpił, bo szykuje się do MŚ juniorów) zaliczyła jeden z najgorszych występów nie tylko w tym sezonie, ale i w ostatnich kilkunastu latach.

Już piątkowe kwalifikacje pokazały, że jest źle. Z pięciu Polaków odpadło trzech: Dawid Kubacki, Klemens Joniak i medalista olimpijski Wąsek. W stawce 53 sklasyfikowanych nie udało im się dostać do „40".

W zawodach w sobotę było o włos od kompromitacji. Niewiele brakło, a nie mielibyśmy swojego zawodnika w drugiej serii. Jak podał dziennikarz Adam Bucholz, ostatni taki przypadek w naszej kadrze był w grudniu 2014 roku w Niżnym Tagile.

Występujący w konkursie Piotr Żyła po słabszym pierwszym skoku miał nikłe szanse na awans do drugiej serii (ostatecznie był 36.). Lepiej spisał się Kamil Stoch, ale przed startem czołowej „10" z klasyfikacji Pucharu Świata plasował się poza „30", jako pierwszy oczekujący. W teorii szanse miał małe, tyle że pomocną dłoń naszej reprezentacji podał Marius Lindvik: Norweg skoczył gorzej od Polaka.

W II serii Stoch poprawił się: skoczył lepiej, awansował w zestawieniu o 7 „oczek", na 23. miejsce. Wynik bez szału, ale trzeba się cieszyć i z tego... – Na pewno nie z takimi oczekiwaniami przyjechaliśmy – mówił trener Maciej Maciusiak.

W niedzielę było lepiej, ale nadal bez szału. W kwalifikacjach z naszych odpadł tylko Joniak. Do drugiej serii dostał się tylko Żyła, lecz 6. lokata (222 m), ze stratą 6,4 pkt. do podium pod względem emocji to rekompenowała.

Po drugiej serii jest niedosyt. Żyła nie skoczył „źle" – 211, 5 m, ale to do podium było o wiele za mało. Polak utrzymał się w „10", zajmując 10. miejsce.

Oba konkursy wygrał Domen Prevc. W niedzielę w finale pobił rekord skoczni – 245,5 m. To jego 6. z rzędu i 13. łącznie zwycięstwo w PŚ w tym sezonie.

PŚ w lotach w Bad Mitterndorf. Sobota: 1. Domen Prevc (Słowenia) 433 (213,5 i 228,5 m), 2. Stephan Embacher (Austria) 431,9 (223 i 219,5 m), 3. Jonas Schuster (Austria) 401,1 (215,5 i 204,5 m)... 23. Kamil Stoch (Polska) 349,2 (184 i 197 m), 36. Piotr Żyła (Polska) 154,9 (182 m). **Niedziela:** 1. Domen Prevc (Słowenia) 463,2 (238 i 245,5 m), 2. Stephan Embacher (Austria) 438,4 (240,5 i 224,5 m), 3. Johann Andre Forfang (Norwegia) 405 (225,5 i 224 m) ... 10. Piotr Żyła (Polska) 384,2 (222 i 211,5 m), 33. Kamil Stoch (Polska) 155,2 (191,5 m), 37. Dawid Kubacki (Polska) 145,8 (189 m), 39. Paweł Wąsek (Polska) 140,1 (181,5 m). ©℗

Aleksandra Król-Walas nie popisała się w Krynicy

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Najlepsza polska snowboardzistka Aleksandra Król-Walas nie może zaliczyć slalomu giganta równoległego weekendowych zawodów Pucharu Świata w Krynicy-Zdroju do udanych.

Aleksandra Król-Walas w obecnym sezonie Pucharu Świata dwukrotnie zajęła drugie miejsce (w zawodach w Carezza, 18 grudnia, oraz w Bansku, 17 stycznia) i raz była trzecia (w Bad Gastein, 13 stycznia).

W najważniejszej imprezie sezonu, zimowych igrzyskach olimpijskich Mediolan-Cortina 2026, 35-letnia zakopianka w zawodach w Livigno, zaliczanych do Pucharu Świata (8 lutego), uplasowała się na siódmej pozycji.

Wysoką formę Król-Walas zostawiła jednak na trasie olimpijskiej we Włoszech. Trzy tygodnie po starcie na igrzyskach Ola nie popisała się na trasie Jaworzyny Krynickiej.

W sobotę zakończyła rywalizację na dziesiątym miejscu: odpadła w 1/8 finału, przegrywając o 0,28 sekundy z Austriaczką Sabine Payer, która w ćwierćfinale odpadła z późniejszą triumfatorką Tsubaki Miki. Japonka w wielkim finale pokonała świeżo upieczoną mistrzynię olimpijską Zuzanę Maderovą z Czech. Na najniższym stopniu podium stanęła utytułowana Niemka, Ramona Theresia Hofmeister, która w „małym finale" wygrała z Włoszką Elisą Caffont.

W niedzielę Król-Walas zajęła piąte miejsce, przechodząc 1/8 finału po pokonaniu o 0,57 sekundy Włoszki Elisy Favy, której najlepszym wynikiem dotychczas w tym sezonie była dwudziesta lokata.

W ćwierćfinale Ola zmierzyła się z Hofmeister. Niemka dzień wcześniej była trzecia, a w swoim dorobku ma już zwycięstwa w Pucharze Świata. I to ona dostała kolejną szansę na podium. W rywalizacji z Polką początkowo przegrywała, ostatecznie na finiszu była jednak o 0,16 s szybsza.

W wielkim finale Payer, która w sobotę wyeliminowała Król-Walas, wyprzedziła o 0,03 s Włoszkę Lucię Dalmasso. Trzecie miejsce zajęła Bułgarka Malena Zamfirowa.

Pozostali reprezentanci Polski nie przebrnęli eliminacji zarówno w sobotę, jak i w niedzielę.

W sobotę wśród kobiet Olimpia Kwiatkowska zakończyła zawody na 27. miejscu, Maria Bukowska-Chyc na 28., a Weronika Dawidek na ostatniej punktowanej 30. pozycji. Wśród mężczyzn Michał Nowaczyk zajął 20. miejsce, a Oskar Kwiatkowski, wracający do formy po kontuzji, ukończył zawody na 34. pozycji. Pozostałe miejsca Polaków: Jakub Luboński (41. miejsce), Michał Wilk (42. miejsce), Bartłomiej Kaciczak (43. miejsce).

W niedzielę Kwiatkowska była 17., Bukowska-Chyc – 24., Dawidek – 25., a przedostatnie 29. punktowane miejsce przypadło Oldze Kaciczak.

Wśród mężczyzn poprawy nie było, bo znów zabrakło Polaka w głównej serii – na 28. pozycji sklasyfikowany został Nowaczyk. Drugi z olimpijczyków, Kwiatkowski, w eliminacjach został zdyskwalifikowany. Maciej Mikołajczyk był 40.Luboński – 41., Wilk – 42., a Anatol Kulpiński zajął 43. miejsce.

W sobotę i niedzielę bezkonkurencyjny okazał się zwycięzca Kryształowej Kuli 2025, Włoch Maurizio Bormolini. ©℗

Stabilne sanki. Obiecujące panczeny. Widać naszych

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Nikola Domowicz i Dominika Piwkowska – szóste zawodniczki ostatnich XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich w dwójkach saneczkowych – zajęły... 6. miejsce w zawodach Pucharu Świata.



FOT. TIZIANA FABI/AFP/EAST NEWS

Nikola Domowicz i Dominika Piwkowska potwierdzają, że dobre występy olimpijskie nie były przypadkiem

Na kultowym torze w St. Moritz wygrały mistrzynie olimpijskie, Włoszki – Andrea Voetter i Marion Oberhofer – które wyprzedziły Niemki Elisę-Marie Storch i Pauline Patz o 0,595 sekundy oraz Łotyszki Andę Upite i Madarę Pavlovą 0,605 sekundy. Nikola Domowicz i Dominika Piwkowska straciły do Włoszek 1,459 sekundy. Po ośmiu z dziewięciu zawodów Pucharu Świata Polki w klasyfikacji generalnej zajmują 9. lokatę.

W męskich dwójkach Wojciech Chmielewski i Michał Gancarczyk uzyskali siódmy wynik. Triumfowali srebrni medaliści olimpijscy z Cortiny d'Ampezzo – Austriacy Thomas Steu i Wolfgang Kindl – szybsi zaledwie o 0,004 sekundy od Włochów Ivana Naglera i Fabiana Malleiera oraz o 0,114 sekundy od Niemców Tobiasa Wendla i Tobiasa Arlta.

Mistrzowie olimpijscy, Włosi Emanuel Rieder i Simon Kainzwaldner, zajęli dopiero 6. miejsce ze stratą 0,440 sekundy. Sklasyfikowani tuż za nimi Polacy stracili 0,935 sekundy.

Puchar Świata zdobyli Wendl i Arlt. Chmielewski i Gancarczyk zajmują 12. miejsce.

Panczeny nie zwalniają

Świetne informacje dotarły do nas z niemieckiego Inzell. Otóż Hanna Mazur sięgnęła po złoty medal mistrzostw świata juniorów w łyżwiarstwie szybkim, wygrywając bieg masowy. Do tytułu mistrzowskiego dołożyła również srebro w biegu drużynowym (z Nadią Machałą).

Srebro zdobył również Kiryl Pischala (ur. 10 marca 2010 roku), który rywalizował w wyścigu masowym. Ten chłopak wkrótce kończy ledwie 16 lat...

W rywalizacji na 500 metrów Wiktoria Dąbrowska wywalczyła brązowy medal. ©℗



FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

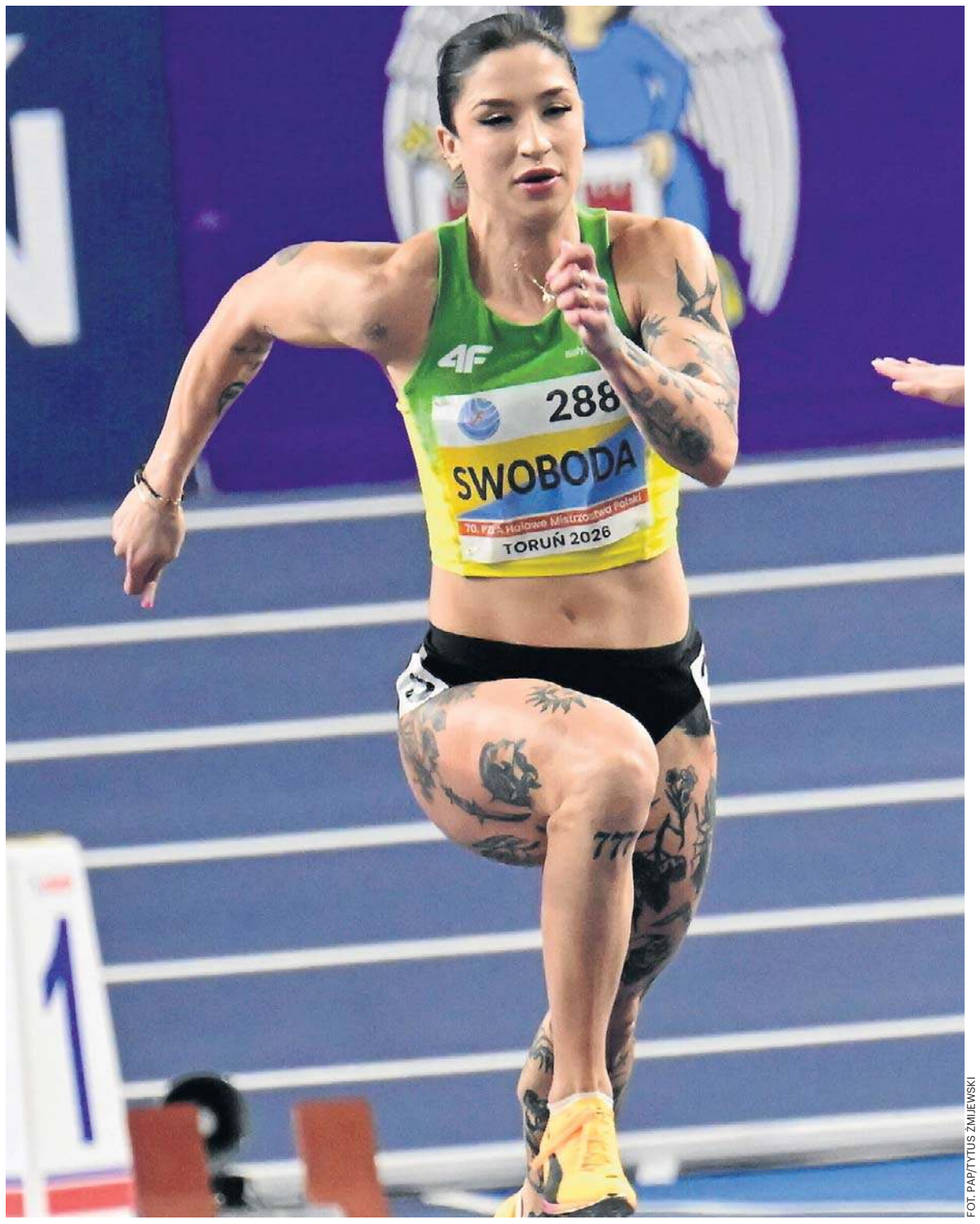
Aleksandra Król-Walas w niedzielnych zawodach Pucharu Świata w Krynicy-Zdroju zajęła piąte miejsce

eprasa.pl 880adb6eec

MAGAZYN

SPORTOWY TYDZIEŃ

Czapki z głów! Dziesiąty tytuł halowej mistrzyni Polski w dziesiątym starcie naszej najszybszej sprinterki w zawodach tej rangi **STR. 22**



FOT. PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

Ewa Swoboda poza konkurencją w hali

PKO EKSTRAKLASA. KATASTROFA WIDZEWA WARTA 100 MILIONÓW ZŁOTYCH **STR. 20**

Na zawody w lotach narciarskich z polskiej kadry „doleciał" tylko Piotr Żyła **STR. 23**

Iga Świątek wraca na kort w tenisowym raju. Polka wystąpi w Indian Wells **STR. 22**

eprasa.pl 880adb6eec